

Łódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 7 (1351) ROK XXVII

18 LUTEGO 1984 ROKU

CENA 15 ZŁ

„Krowi Ogon” ze znakiem
zapytania
Deficytowy owoc cytrusowy
Brakujące ogniwo ewolucji
Odrodzony mit
Johna F. Kennedy’ego
Literatura emigracyjna

Realia samodzielności

WITOLD KASPERKIEWICZ

1. PLANOWANIE W PRZEDSIĘBIORSTWIE

W życiu gospodarczym, podobnie jak w armii, ideałem działania jest dobry plan strategiczny połączony z dobrą taktyką, jego realizacji. Mistrzowską strategię łatwo popuszczyć taktykę, lecz zupełnego braku strategii żadna taktyka zastąpić nie może. Współzależność strategii i taktyki w gospodarce oznacza, że centralne ustalenia społeczno-ekonomiczne zawarte w NPSG i działania przedsiębiorstw tworzyć powinny pewną harmonijną całość. Podstawą taktyki działania reformowanych przedsiębiorstw jest ich swoboda w dziedzinie planowania. Stanowi ona ważny atrybut samodzielności przedsiębiorstwa, swego rodzaju przejaw jego autonomii ekonomicznej.

Na podstawie wyników badań empirycznych przeprowadzonych w 1983 r. przez zespół pracowników Instytutu Ekonomii Politycznej UL w 49 przedsiębiorstwach reprezentujących głównie przemysł: lekki, chemiczny i maszynowy — należy sformułować wniosek, że podmiotowość przedsiębiorstw w planowaniu utrzymała się w łwiej części badanych jednostek. Jednocześnie zaobserwować można nadal utrzymującą się skłonność niektórych ogniw centralnej administracji gospodarczej do komenderowania przedsiębiorstwami oraz egzekwowania od nich nadmiernie rozbudowanych informacji statystycznych i różnorodnych sprawozdań przypominających niekiedy „dobre” czasy panowania zjednoczeń branżowych.

Plany techniczno-ekonomiczne przedsiębiorstw na rok 1983 opracowywane były często w I połowie 1983 r. (25 przypadków, czyli ok. 50 proc.). W 10 przedsiębiorstwach odnotowaliśmy powstanie ostatecznej wersji planu dopiero w II połowie 1983 r. (lipiec-wrzesień). Warto również wspomnieć, że w 3 przedsiębiorstwach mieliśmy do czynienia z planem „otwartym”. We wrześniu 1983 r. plany tych przedsiębiorstw nie miały nadal charakteru ostatecznego. Analizując problem terminu budowy ostatecznej wersji planu w ujęciu: przemysłu, dóbr rynkowych i zaopatrzeniowych należy wskazać na fakt, że w przedsiębiorstwach wytwarzających dobra zaopatrzeniowe stabilność planów była większa niż w przedsiębiorstwach produkujących dobra rynkowe. W drugiej połowie 1983 r. 9 przedsiębiorstw z działu dóbr zaopatrzeniowych posiadało aktualne plany, natomiast tylko 5 z sektora dóbr rynkowych.

Zasadniczą przyczyną wyjaśniającą fakt opóźnień w konstruowaniu planów jest występująca nadal niepewność i zmienność zewnętrznych w stosunku do przedsiębiorstw warunków gospodarowania.

W szczególności dotyczyło to takich dziedzin jak:

- zaopatrzenie w surowce, materiały i części zamienne (w tym przede wszystkim pochodzące z importu);
- więzi kooperacyjne;
- zatrudnienie (niedobór robotników);
- problemy z eksportem do II obszaru płatniczego.

Perturbacje pojawiające się na tych obszarach stanowią zarazem czynniki ograniczające samodzielność przedsiębiorstw w sensie rzeczowym i regulacyjnym, gdyż wymuszają stosowanie rozdzielnictwa deficytowych surowców, materiałów i środków dewizowych, a także w pewnym zakresie obowiązkowego pośrednictwa pracy.

W porównaniu z praktyką planistyczną lat poprzednich została znakomicie ograniczona sfera oddziaływania narzędzi dyrektywnymi na planowanie w przedsiębiorstwach. Podstawową rolę w budowie planów odgrywa informacja planistyczna płynąca do przedsiębiorstw z różnych źródeł (Instytucji). Na zasadzie sprężenia zwrotnego przedsiębiorstwa przesyłają mnóstwo różnorodnych informacji o swoich planach i efektach działalności do wielu instytucji — uczestników życia gospodarczego w reformowanym systemie. Znamienne jest, iż w opinii kadry kierowniczej, nasila się niekorzystne zjawisko obarczania przedsiębiorstw obowiązkiem sporządzania szczegółowych informacji dla różnych ogniw i instytucji gospodarczych oraz administracyjnych. Wymagania w tym zakresie — według opinii respondentów — są większe w badanym okresie niż w 1982 r. Na podstawie analizy zakresu i źródeł informacji planistycznych oraz ingerencji w ustalanie planów przedsiębiorstw można sformułować następujące stwierdzenia:

— Instytucjami najczęściej otrzymującymi informacje od przedsiębiorstw na temat ich planów są: banki (48 przypadków), zrzeszenia (38), Izby Skarbowe (31), Komisja Planowania (30), organy założycielskie (29);

— wśród instytucji emitujących informacje użyteczne w procesie opracowywania planu przedsiębiorstwa prym wiodą: organy założycielskie (24 przypadki), zrzeszenia (19), Komisja Planowania (17) i jednostki obrotu towarowego (13).

— problemem budzącym kontrowersje jest sprawa interpretacji danych wyrażających liczbę przypadków ingerencji lub prób ingerencji różnych instytucji w kształtowanie zadań planowych przedsiębiorstw. Odnosi się to, najbardziej aktywne w tej dziedzinie są organy założycielskie (13 przypadków), banki (10), zrzeszenia (8), Komisja Planowania (3), jednostki obrotu towarowego (2) oraz administracja terenowa (2), przedsiębiorstwa handlu zagranicznego (2) i biuro pełnomocnika do spraw programów operacyjnych (1).

Intrygującym faktem jest względnie duża liczba przy-



Foto: Tomasz Miślak

Kodeks konsumenta w teorii i w praktyce

TERESA JERZYKOWSKA

Zakupy — zarówno te codzienne, spożywcze, jak i dokonywane rzadziej, co kilka tygodni czy nawet co kilka lat robimy wszyscy, zastanawiając się przede wszystkim nad tym, co kupić i gdzie kupić. O wiele rzadziej zdarza nam się myśleć o sprawach związanych z warunkami, w jakich kupujemy, rozważać, jakie stwarza prawa i jakie obowiązki nakłada na nas, klientów, sam fakt dokonywania zakupu. Do takich rozważań dochodzi przeważnie wówczas, gdy nie jesteśmy z nabyciego towaru zadowoleni; buty okazały się za ciasne, krzesło po tygodniu użytkowania rozleciało się na elementy składowe lub po prostu w domu doszliśmy do wniosku, że to, co kupiliśmy, bo „wszyscy brali”, wcale nie jest nam potrzebne.

Jak zachować się w takiej sytuacji? Od niedawna wszystkie takie i podobne sprawy

reguluje nowa, ogłoszona w czerwcu 1983 roku, a obowiązująca od 1984 roku uchwała Rady Ministrów, której oficjalny tytuł brzmi: „Ogólne warunki umów sprzedaży detalicznej towarów oraz ogólne warunki gwarancyjne, dotyczące towarów trwałego użytku”. Na codzienny użytek tę długą i oficjalnie brzmiącą nazwę można z powodzeniem zastąpić krótszą: kodeks konsumenta. Wszyscy pracownicy handlu z racji wykonywanych funkcji musieli zapoznać się z treścią tego dokumentu, warto również, aby poznali go klienci.

Nie trzeba w tym celu sięgać do Monitora Polskiego, w którym uchwała została opublikowana. Przepisy te powinny znaleźć się w każdym sklepie, w miejscu łatwo dostępnym dla klientów. I rzeczywiście, w wielu sklepach — zwłaszcza w placówkach dużych, gdzie istnieją specjalne

komórki, zajmujące się załatwianiem reklamacji, wisi belony tekst dokumentu, lub też wybrane, najbardziej istotne jego punkty. W mniejszych sklepach brnąć przemysłowych znacznie trudniej go spotkać, choć w niektórych był i inny, na pytanie o uchwałę nr 71 (taki bowiem numer nosi dokument) sprzedawcy wy-nosili ją z zaplecza. Nie udało mi się natomiast spotkać z wywieszonym tekstem — lub choćby informacją, że coś takiego istnieje i jest do wglądu — w żadnym sklepie spożywczym.

Od chwili wejścia w życie uchwały upłynęło zaledwie kilka tygodni, być może więc brak ten zostanie wkrótce uzupełniony. Ale i obecnie każdy klient może bez większych trudności — odwiedzając większe placówki, jak choćby Central, Uniwersal czy Juwen-tus — zapoznać się z tekstem „kodeksu konsumenta”. Taka

lektura, niezależnie od pożytku, jaki daje znajomość przepisów w przypadku jakiegokolwiek sporu, to po prostu sama przyjemność. Dokument zawiera bowiem spis praw, jakie posiadamy my, klienci, oraz obowiązków, jakie muszą spełniać sprzedawcy i pozostały personel sklepów, w których postanowiliśmy kupić cośkolwiek: od bułki po komplet mebli.

Oczywiście i dotychczas istniały przepisy, regulujące wszelkie „interakcje” między kupującymi a sprzedającymi, a mimo to niejednokrotnie dochodziło do sporów i nieporozumień. Czy nowe przepisy przyczynia się do zmniejszenia ich ilości, czy są one jasne, precyzyjne i korzystniejsze od poprzednich z punktu widzenia klientów i ułatwiają pracę

Jurij Andropow (1914—1984)



9 lutego 1984 r. w 70 roku życia po długiej chorobie zmarł sekretarz generalny Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, Bohater Pracy Socjalistycznej, Jurij Władimirowicz Andropow.

Odszedł wybitny działacz partii komunistycznej i państwa radzieckiego, międzynarodowego ruchu komunistycznego i robotniczego. Z jego imieniem nierozdzielnie związane jest dalsze umocnienie jednolitości partii i narodu, doskonalenie społeczeństwa rozwiniętego socjalizmu, podniesienie poziomu życia narodu, umocnienie potencjału gospodarczego i obronnego naszej ojczyzny, wprowadzenie w życie leninowskiej pokojowej polityki zagranicznej.

Jurij Władimirowicz Andropow urodził się 15 czerwca 1914 roku w miejscowości Nagutskaja w Kraju Stawropolskim, w rodzinie kolejarzkiej. W wieku 16 lat rozpoczął pracę. Był robotnikiem w miejscowości Mozdok w Północnokaukaskiej Autonomizacji SRR. W tym okresie w 1930 r. wstąpił w szeregi WLKZM. W 1932 r. rozpoczął naukę w Technikum Transportu Wodnego w miejscowości Ribińsk. Jednocześnie pracował jako marynarz, sternik i pomocnik kapitana na różnych jednostkach wojskowej żegluzi rzecznej. Następnie studiował na uniwersytecie państwowym w Pietrozawodsku. Ukończył Wyższą Szkołę Partijną przy KC KPZR.

W 1936 r. J. Andropow został wybrany etatowym sekretarzem organizacji komсомольskiej Technikum Transportu Wodnego w miejscowości Ribińsk w obwodzie jarosławskim. Wkrótce został wysunięty na stanowisko organizatora pracy Komсомольskiej KC WLKZM w Słocim im. Włodarskiego w miejscowości Ribińsk.

W 1937 r. Jurij Andropow został mianowany kierownikiem wydziału, następnie wybrany sekretarzem, a w 1939 r. pierwszym sekretarzem Jarosławskiego Obwodowego Komitetu WLKZM. W tym samym roku został członkiem partii komunistycznej. W 1940 r. J. Andropow zostaje pierwszym sekretarzem KC WLKZM Karelii.

Od pierwszych dni Wielkiej Wojny Narodowej J. Andropow był aktywnym uczestnikiem ruchu partyzanckiego w Karelii. Zajmował się organizacją podziemia komсомольskiego i działalności politycznej wśród młodzieży na przebiegającym przez przedwiośnie terytoryum radzieckim, przetrzymując na Hucie frontu grup bojowych i przeprowadzaniem operacji na tyłach wroga.

Po wyzwoleniu spod okupacji faszystowskiej miasta Pietrozawodsk w 1944 r. J. Andropow został skierowany do pracy partyjnej: wybrano go drugim sekretarzem Komitetu Miejskiego partii w Pietrozawodsku, a w 1947 roku, drugim sekretarzem KC Komunistycznej Partii Karelii. W 1951 roku rozpoczyna pracę w aparacie partyjnym Komitetu Centralnego KPZR, gdzie początkowo pracuje jako inspektor, a następnie kierownik działu Komitetu Centralnego.

W 1953 r. partia kieruje J. Andropowa do pracy dyplomatycznej w MSZ ZSRR, a w 1954 roku zostaje mianowany ambasadorem nadzwyczajnym i pełnomocnym ZSRR w Węgierskiej Republice Ludowej.

W 1957 r. J. Andropow zostaje zatwierdzony na stanowisku kierownika wydziału KC KPZR.

W 1961 r. na XXII, a następnie na wszystkich kolejnych zjazdach partii J. Andropow był wybierany na członka Komitetu Centralnego KPZR. W latach 1962—67 sprawował funkcję sekretarza KC KPZR.

W 1967 r. zostaje wybrany zastępcą członka Biura Politycznego KC KPZR. Od 1973 r. J. Andropow był członkiem Biura Politycznego KC KPZR.

Od 1967 r. do 1982 r. J. Andropow na po-

lecanie partii pracował jako przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR.

W maju 1982 r. J. Andropow zostaje ponownie wybrany sekretarzem KC KPZR.

Nadzwyczajne plenum KC KPZR, które odbyło się 12 listopada 1982 r. wybrało J. Andropowa sekretarzem generalnym Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

J. Andropow był deputowanym do Rady Najwyższej ZSRR trzeciej i 6—10 kadencji. Na ósmej sesji Rady Najwyższej ZSRR dziesiątej kadencji w czerwcu 1983 roku J. Andropow został wybrany przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej ZSRR.

Na wszystkich stanowiskach, na których z woli partii pracował Jurij Andropow, dobitnie przejawiała się jego wrażliwość wielokierunkowa. Wszystkie swoje siły, wiedzę, doświadczenie oddawał na dalsze umacnianie politycznej i organizatorskiej działalności partii, zwiększaniu jej kierowniczej roli w życiu społeczeństwa radzieckiego, wysokiej odpowiedzialności każdego komunisty przed partią i narodem. J. Andropow stale troszczył się o konsekwentne przestrzeganie leninowskich norm życia partyjnego, zapewnienie kolegiałości w pracy organów partyjnych — od Biura Politycznego KC KPZR po terenowe komitety partyjne.

Znaczący jest wkład J. Andropowa w teoretyczne opracowanie aktualnych problemów współczesności. W jego wystąpieniach, pracach zostały głęboko rozwinięte cechy charakterystyczne współczesnego etapu rozwoju społeczeństwa radzieckiego, wyraźnie sprzeczające bieżące i perspektywiczne zadania partii i państwa radzieckiego w budownictwie komunistycznym.

Główną uwagę J. Andropow skupiał na realizacji twórczych planów wypracowanych przez XXVI Zjazd partii, listopadowe (1982 r.) i kolejne posiedzenia plenarne KC KPZR. W jego wystąpieniach wysunięte zostały zadania zwiększenia efektywności produkcji i poprawy jakości pracy, doskonalenia zarządzania, planowania i mechanizmów gospodarczych. J. Andropow przywiązywał ogromne znaczenie do inicjatyw ludzi pracy w walce o zaprowadzenie dyscypliny i porządku, poprawie organizacji i zwiększenia odpowiedzialności.

Głębokie oceny i wnioski dotyczące podstawowych kierunków dalszego rozwoju gospodarczego kraju sformułowane zostały przez J. Andropowa w wystąpieniu na grudniowym (1983 r.) Plenum KC KPZR. W tym ważnym dokumencie politycznym dobitnie przedstawiona została społeczno-gospodarcza polityka partii i państwa radzieckiego na obecnym etapie.

Leninowska polityka narodowościowa została rozwinięta w referacie J. Andropowa na „60 lat ZSRR”. Uosobiona w nim doświadczenia wynikające z realizacji w naszym kraju idei przyjaźni i braterstwa narodów, całkowitego równouprawnienia narodów i narodowości kraju.

J. Andropow stale troszczył się o doskonalenie ideologicznej działalności partii, o ugruntowanie wysokiej etyki, o wszechstronną poprawę komunistycznego wychowania ludzi pracy.

Stojąc na czele Rady Obrony ZSRR J. Andropow przejawiał stałą troskę o rozwój sił zbrojnych ZSRR, o utrzymanie na należytym poziomie potęgi obronnej naszej ojczyzny.

Wiele sił i energii J. Andropow poświęcił wprowadzaniu w życie programu pokoju. W oświadczeniach i innych wystąpieniach J. Andropowa dotyczących problemów polityki zagranicznej zawarta jest głęboka analiza klasowa obecnej sytuacji międzynarodowej, ujawnione są źródła napięcia i pokazane drogi walki z niebezpieczeństwem, które zagraża ludzkości. W dokumentach tych przedstawione są najważniejsze konstruktywne inicjatywy partii, ukierunkowane na umocnienie powszechnego pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego. J. Andropow konsekwentnie wypowiadał się na rzecz umocnienia współpracy, jednolitości i zwartości krajów socjalistycznych, międzynarodowego ruchu komunistycznego i robotniczego, poparcia walki narodowowyzwoleńczej narodów.

Wiele sił J. Andropow poświęcił ugruntowaniu zdrowych podstaw w stosunkach międzynarodowych, zasad odprężenia, umacnianiu podstaw pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach społecznych, o kielnaniu wyścigu zbrojeń, wyeliminowaniu groźby wojny jądrowej. Działalność J. Andropowa w tych dziedzinach spotykała się z gorącym odzewem i jednomyślnym poparciem całego narodu radzieckiego, milionów ludzi za granicą.

Za ogromne zasługi wobec ojczyzny J. Andropowowi, wybitnemu działaczowi partii komunistycznej i państwa radzieckiego w 1974 r. przyznano tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej. Został odznaczony czterema Orderami Lenina, Orderem Rewolucji Październikowej, Orderem Czerwonego Sztandaru, trzema Orderami Czerwonego Sztandaru Pracy oraz medalami.

W osobie J. Andropowa komunistyczny radziecki, wszyscy ludzie pracy, nasi zagraniczni przyjaciele widzieli wybitnego przywódcę leninowskiego typu. Wyróżniał się serdecznym stosunkiem do ludzi i skromnością. Cieszył się głębokim szacunkiem i zaufaniem ludzi radzieckich. Cała droga życiowa Jurija Władimirowicza Andropowa — od robotnika do sekretarza generalnego KC KPZR, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR — jest dobitnym przykładem ofiarnego służenia partii i narodowi.

Szlachetny wizerunek Jurija Władimirowicza Andropowa, bojownika o pokój i szczęście ludzi na zawsze pozostanie w sercach komunistów, wszystkich ludzi radzieckich.

KOMITET CENTRALNY KPZR
PREZYDIUM RADY NAJWYŻSZEJ ZSRR
RADA MINISTRÓW ZSRR

Przegląd prasy

Przeglądając systematycznie prasę tygodniową, a także miesięczniki i kwartalniki, dochodzi się do pewnych spostrzeżeń i ogólniejszych wniosków. Na przykład, że powoli formuła dominująca w naszej publicystyce staje się rozmowa. Nie powiem, bywały rozmowy nader interesujące, autorzy tych rozmów wybierają sobie rozmówców, którzy mają coś do powiedzenia, chcą podzielić się z czytelnikami ciekawymi spostrzeżeniami, mają często oryginalne poglądy na wiele interesujących nas spraw. Rozmowy są więc polityczne i chętnie czytane.

Preferowanie w publicystyce rozmowy jako formy wypowiedzi jest bezspornie rezultatem demokratyzacji naszego życia, kiedy ludzie chcą wiedzieć, co i jak myślać ci, którzy sprawują władzę, podejmują decyzje, kształtują politykę, a politycy, urzędnicy, działacze gospodarczy i społeczni nie tworzą barier i nie utrudniają dostępu do siebie. To jest bez wątpienia korzystny rezultat zmian, jakie się dokonują i dokonują w kraju.

Ale z drugiej strony preferowanie rozmowy prowadzi do troski o równomierny dopływ własnych opinii i poglądów. Jest to dość istotnym niebezpieczeństwem. Prowadzi bowiem do zaskaniania się autorami, do unikania prezentowania własnego zdania, co w konsekwencji po prostu zwalnia z obowiązku myślenia. Wprawdzie interpretacje i trudne pytania też trzeba wyrazić, ale to i tak nie jest prezentacją tego, co się myśli, nie stanowi przecież autorskiej wypowiedzi publicysty.

Marek mi się więc jednocześnie wydaje, że samą ciekawą rozmowę, co i ciekawych artykułów pisanych przez specjalistów różnych dziedzin. Nim się jednak tego doczekamy, chciałabym zaprezentować rozmowę Jerzego Walasaka z członkiem Biura Politycznego KC KPZR, ministrem spraw za-

granicznych Stefanem Olszowskim zamieszczoną w „PERSPEKTYWACH” (nr 6 z 10 lutego 1984 r.) pt. „Polityka odpowiedzialności narodowej racji stanu”. Jest to w gruncie rzeczy poszukiwanie odpowiedzi na pytanie:

KU CZEMU ZMIERZA ŚWIAT?

Jest to więc ocena tego, jakim był 1983 rok i jakie obecnie tendencje występują w polityce międzynarodowej.

— „Rok 1983 był rzeczywiście trudny — powiedział Stefan Olszowski. — Siły imperialistyczne, głównie USA, przystąpiły do realizacji planów mających na celu zmianę istniejącej równowagi sił zarówno na skali globalnej, jak i w Europie”.

Zmiana układu sił zwiększa zagrożenie wojenne na świecie. Wzrosło więc napięcie, zostały zawieszone rozmowy na temat rozbrojenia. Rozpoczął się wyścig zbrojeń. Proponuje rozbrojenie ZSRR i państw socjalistycznych pozostały w zasadzie bez odpowiedzi.

— „O losach Europy i świata — mówi dalej Stefan Olszowski — nie decyduje jednak same Stany Zjednoczone i ich sojusznicy z NATO. Gwarantem bezpieczeństwa międzynarodowego jest pokojowa polityka państw wspólnoty socjalistycznej, potencjał obronny ZSRR i Państw Stron Układu Warszawskiego, aktywne wszystkie postępowe, antyimperialistyczne siły w świecie, które dądość do umocnienia i rozwoju ruchu proletariackiego, do odparcia nacisku imperialistycznych sił w Europie Zachodniej i USA”.

Mimo trudności i napięć doszło jednak do zwolnienia konfereencji w Sztokholmie, której rezultaty aczkolwiek osłabione nie tak szybko i nie bez trudności, nowiny doprowadzić do stopniowego rozładowania napięcia w stosunkach międzynarodowych. W Sztokholmie przeprowadzone też wiele rozmów dwustronnych, co również ma wpływ na kształtowanie się stosunków w świecie. Między innymi rozmowy takie odbył min. Stefan Olszowski. Przenosił je z ministrami Danii, Finlandii, Francji, Grecji, Hiszpanii, Holandii, Jugosławii, Kanady, RFN, Szwecji, Włoch, Węgry.

— Rozmowy dwustronne — powiedział Stefan Olszowski — wykazywały gotowość wielu państw zachodnich do poprawy stosunków z Polską. Potwierdzeniem tego stanowiska jest zmiana tonu oficjalnych wystąpień, a także fakt, że było to pierwsze od kilku lat

spotkanie międzynarodowe tak wysokiej rangi, na którym sprawy polskie nie były podnoszone publicznie przez żadne inne państwo. W tym kontekście widzieć trzeba również szereg ustaleń w sprawie kontaktów politycznych, a także uzgodnienia w sprawie podjęcia rozmów o współpracy gospodarczej, kulturalnej i naukowej. Niemniej, ciagle jeszcze odnotowujemy przypadki ulegania przez niektóre rządy państw zachodnioeuropejskich presji wywieranej przez administrację waszyngtońską, hamującej postęp normalizacji stosunków. Generalnie jednak, podejście Zachodu do problemów Polski staje się bardziej realistyczne”.

Ten cień optymizmu, jaki wynika z wypowiedzi min. Stefana Olszowskiego, a który jest rezultatem wnikliwej analizy stosunków różnych państw zachodnich do Polski, przesłania sprawa restrykcji z uporem stosowana przez administrację Ronalda Reagana.

— „Jest sprawą oczywistą — powiedział min. Stefan Olszowski — również dla Waszyngtonu — iż polityka restrykcji ponosiła fiasko. Stąd próby — jak dotąd tylko pozorne — zmiany tej polityki. Świadczy o tym niedawne decyzje prezydenta Reagana w sprawie cofnięcia zakazu polewania na wodach amerykańskich oraz w sprawie tożów czarterowych do Stanów Zjednoczonych. Ta gra pozorów nie może przetrwać fakty, że wszystkie istotne restrykcje zostały utrzymane w mocy. Tak więc amerykańska polityka wobec Polski nie ulega żadnej istotnej zmianie”.

Wszystko wskazuje na to, że polityka zagraniczna USA „będzie utrzymana we wszystkich sferach i regionach”. Z tego można tylko wyciągnąć wniosek, że „można trwać, lub nawet ulec nasileniu, konfliktu lokalnego”. Nie jest to wesoła perspektywa, ale wynikająca z realnej oceny faktów i tendencji.

Jeśli chodzi natomiast o politykę zagraniczną Polski, to min. Stefan Olszowski podkreślił, że „polityka zagraniczna, obok polityki obronnej państwa, nie przetrwała kryzysu i nie podlegała zmianom czy zakreśleniu”. Polityka ta w całym 40-leciu „cieszyła się poparciem społeczeństwa”, a dlatego, że odpowiadała ona „narodowej racji stanu”.

Inny problem podjął Tadeusz Kucharski w rozmowie z członkiem Biura Politycznego KC KPZR, i sekretarzem KL, dr inż. Tadeuszem Czechowiczem. Rozmowa nosi tytuł: „Zamiast przetrwać w górze i ukazać się na lamach TU i TERAZ” (nr 6 z 8 lutego 1984 r.). Są to między innymi rozważania na temat tego,

CZY LUDZIE SPRAWUJĄCY WŁADZĘ WIEDZĄ WSZYSTKO O TYM, JAK SIĘ LUDZIOM DZIŚ ŻYJE!

Istnieje takie przekonanie, że gdyby ludzie sprawujący władzę wiedzieli wszystko, jak się ich decyduje, jakie jest prawda na dole, to by inaczej decydowali i inne przedsięwzięli środki. Nie jest to przekonanie czymś nowym. Już dawno temu uważano, że wodzowie są dobrzy i dobrze chcą, ale mają złych doradców i złych wykonawców, którzy wszystko psują, kradną i oszukują. Jest to mit dość wygodny. Rozkłada bowiem winę na anonimowych złych ludzi, doradców, biurokratów, karierowiczów i tak dalej. Nie twierdząc, że takich nie ma, ale każdy, kto logicznie myśli i realnie ocenia rzeczywistość, musi przyznać, iż rzecz leży akurat nie w tym. Taki pogląd reprezentuje też Tadeusz Czechowicz. Na swoim przykładzie, jak i w oparciu o pracę Biura Politycznego KC KPZR, innych organów władzy, zaprzecza takiej sytuacji, w której „władze oddzielone są od społeczeństwa jakąś szklaną, dwukierunkową płytą”. Przeczy również temu, że „do uszczelnienia społeczeństwa wystarczy sama wiedza przedstawicieli władzy o istniejącej sytuacji”.

Tak wcale nie jest. „Główną barierą — powiedział Tadeusz Czechowicz — w rozwiązywaniu wielu trudnych problemów jest nie brak wiedzy o kłopotach nękających społeczeństwo, lecz ograniczone możliwości gospodarcze państwa”. Nie ulega wątpliwości, że ludzie sprawujący władzę muszą wszystko wiedzieć o społeczeństwie, ale do rozwiązywania problemów potrzebne są określone możliwości. Stworzone do tej pory różne formy czerpania wiedzy o społeczeństwie, informacje „z dołu” przepływają ku „górze”, prowadzi się sondáže, bada się opinie publiczną, prowadzi się konsultacje, wnikliwie analizuje się listy, jakie napływają do różnych instytucji do ludzi sprawujących władzę.

Jak więc na podstawie tej wiedzy — pyta T. Kucharski — Tadeusz Czechowicz mógłby „w sposób maksymalnie syntetyczny” określić „warunki życia mieszkańców Łodzi”?

— „Opinie trzeba by stwierdzić — odpowiedział Tadeusz Czechowicz — że są one dość trudne. I to nie tylko dlatego,

że zarobki w naszym przemysle są niższe od przeciętnych w kraju. Najbardziej na poziom życia mieszkańców rzutuje niedorozwój infrastruktury miejskiej. Opóźnienia w budownictwie mieszkaniowym, zaniedbania w remontach starej substancji mieszkaniowej, niedostatek taboru komunikacji miejskiej, układy komunikacyjne nie odpowiadające dzisiejszym potrzebom miasta, niedoskonałość i trudność z ich zaopatrzeniem, niedostatek placówek służby zdrowia, a jeszcze bardziej oświaty...”

Są to wprawdzie problemy, z jakimi też borykają się inne duże aglomeracje miejskie, ale sposoby ich rozwiązywania zależą też od odmiennych możliwości. Na przykład w małym mieście województwa łódzkiego miejskim zaopatrzenie w artykuły spożywcze może być pokryte tylko w 20 procentach z własnych zbiorów i produkcji. Trudności komunikacyjne Łodzi rozwiąże dopiero metro, a na to nie można zbyt szybko liczyć, gdyż dopiero przygotowuje się projekty, a dziś jeszcze nie wiadomo, kiedy powstanie takie możliwości, aby projekty mogły być realizowane. Te możliwości ograniczają też sposoby rozwiązywania innych problemów, z jakimi mają do czynienia mieszkańcy Łodzi. Nie znaczy to, że nie się przeleci nie robi. Ograniczone możliwości rozwiązywania trudności Łodzi zmuszają do selekcji spraw i ustanowienia hierarchii w ich rozwiązywaniu. Jednym z ważniejszych problemów są sprawy budownictwa mieszkaniowego oraz rekonstrukcja przemysłu włókienniczego.

— „Przed wszystkim uważamy — powiedział Tadeusz Czechowicz — że należy w Łodzi skupić się na tych technologiach włókiennictwa, które wymagają wysokiej kwalifikacji zawodowych, bo Łódź ma bardzo doświadczone załogi. Wymaga to modernizacji przemysłu w oparciu o park maszynowy zarówno krajowy, jak też z krajów RWPG. Uważamy, że w oparciu o ten park będzie można zmodernizować szczególnie ważne fazy procesu technologicznego, z tkaniem włóczki”.

Na pytanie o trudności w sprawowaniu władzy Tadeusz Czechowicz odpowiedział, że stanowi je „konieczność nieustannego przezwycięzania niedostatków kultury politycznej w naszym społeczeństwie”. Polega to między innymi na tym, że wielu ludzi, a i organizacji wszystkiego oczekuje od innych, niczego od siebie. A więc „zamiast ciągle patrzeć w górę” należy solidnie wziąć się do roboty, bo jeśli wszyscy tylko będą oczekiwali od innych, a nie, nie dając w zamian od siebie, to niczego nie osiągniemy.

Taki między innymi wniosek powinniśmy wyciągnąć z naszych dotychczasowych doświadczeń. Tani już to zrobili.

NA PRZYKŁAD JUGOSŁOWIANIE

Sierpień 1980 roku wzbudził tam duże zainteresowanie Polakami. Mówi o tym na łamach „ZDANIA” (nr 1 ze stycznia 1984 r.) w rozmowie z Jadwigą Morawską wieloletni korespondent „Tanyug” i tygodnika „NIN”, Ilija Marinković. Tytuł rozmowy: „Co słowo „Polska” znaczy dla przeciętnego Jugosłowianina”.

Zdaniem Ilija Marinkovicia „w Belgradzie panuje przekonanie, że generał Kryszyk w nas i u was znacznie się różni. Dlatego było by błędem szukać tu wspólnych punktów. Jest to oczywiście, zbyt duże uproszczenie. Faktem jest, że mechanizm kryzysu jest inny. U nas nie doszło do takiej eksplozji, można by rzec, że nasz kryzys rozwija się „spokojnie”. Dzięki temu, że nie ma ostrzeżenia, możliwa jest otwarta dyskusja nad problemami naszej „stabilności”, a także szeroka wymiana idei”.

Przecież jednak są jakieś podobieństwa. Zapytany o to wprost Ilija Marinković powiedział: „Podobieństwem zauważa się w definicji dyktatoru proletariatu, w określeniu roli klasy robotniczej. Prowadzi się ciągle dyskusje, czy jest ona przeszczeniwa czy nie doceniana. Innym wspólnym problemem jest biurokracja, która najszybciej się umacnia i najtrudniej pozwała na odbrnięcie sobie przypilejów”.

Mimo tych zastrzeżeń podobieństw wspólnych jest sporo, aczkolwiek sposoby rozwiązywania kryzysu w obu krajach są bardzo różne i nie ma w tym nic dziwnego. Ale nawet gdyby podobieństw istotnie było mało, to sadzę, że i tak warto porównywać problemy Jugosławii, szczególnie jej doświadczenia z samorządem, bo my również możemy się czego nauczyć. Lepiej jest — mimo wszystko — uczyć się z cudzych błędów i doświadczeń, niż z własnych. Podobnie myśli też Ilija Marinković, stąd jego twierdzenie, że „obrota doocpinismem, że raczej wy zbliżacie się do naszych problemów, niż my do waszych”. Zatem uczmy się wzajemnie, jak uniknąć błędów już popełnionych.

LUCJAN BOGUSZ

tu należy, jak sądzimy, poszukiwać w utożsamianiu przez niektórych respondentów funkcji banku wynikających z prowadzenia transakcji kredytowych (kredyt obrotowy i inwestycyjny), z ingerencją tej instytucji w kształtowanie planów przedsiębiorstw.

Przeprowadzone badania pozwalają na wysunięcie wniosku, że zadania dyrektywne odgrywały raczej marginalną rolę w kształtowaniu planów przedsiębiorstw na 1983 r. Z uzyskanego materiału empirycznego wynika, iż zadania dyrektywne otrzymało 8 przedsiębiorstw, a dyrektywy owe pochodziły w całości z organów założycielskich. Zadania dyrektywne dotyczyły produkcji objętej programami operacyjnymi (4 przedsiębiorstwa), zamówień rządowych (2 przedsiębiorstwa), asortymentu produkcji (1 przedsiębiorstwo) i produkcji specjalnej (1 przedsiębiorstwo). Problem zakresu dyrektywności programów operacyjnych i zamówień rządowych omówiony będzie w dalszej części artykułu.

Realia samodzielności

Zestawiając dane przedstawiające zakres rozliczania przedsiębiorstw z wykonania zadań i podanymi wcześniej przypadkami stosowania instrumentów dyrektywnych można dojść do wniosku, że między nimi występują jaskrawe sprzeczności i w związku z tym brak jest logicznych przesłanek do wydania sądu o zakresie zjawiska rozliczenia przedsiębiorstw z wykonania zadań. Z uzyskanych informacji wynika, że spośród 49 badanych przedsiębiorstw 28 (czyli ok. 60 proc.) odmawiało fakt rozliczenia z wykonania zadań planowych. Natomiast, jak stwierdziliśmy poprzednio, jedynie 8 przedsiębiorstw było obiektem oddziaływania dyrektywnego.

W świetle obserwacji, opinii i danych sądzimy, iż wyjaśnienia kwestii rozbieżności między przytoczonymi danymi należy szukać w sposobie, w jaki kadra kierownicza interpretuje pojęcie „rozliczenia przedsiębiorstwa”. W percepcji części kadry kierowniczej zainteresowanie różnych instytucji życia gospodarczego wykonaniem zadań planowych i sytuacją finansową przedsiębiorstw traktowane jest jako próba ich rozliczenia. Stąd też w odpowiedziach respondentów podali przykładowo aż 15 przypadków rozliczania przedsiębiorstw przez banki i 4 przypadki przez Urzędy Skarbowe, chociaż wiadomo, iż banki, a tym bardziej Urzędy Skarbowe nie dysponują w stosunku do przedsiębiorstwa możliwościami stosowania klasycznych sankcji za niewykonanie zadań planowych. Bank interesuje się działalnością przedsiębiorstwa o tyle, o ile związane jest to z przyznaniem kredytu obrotowego lub inwestycyjnego. „Sankcja” polegać może jedynie na odmowie udzielenia kredytu, co pozostaje w zgodzie z ogólnie przyjętymi regułami gry w reformowanym systemie. Należy przy tym zaznaczyć, iż kryteria przyznawania kredytów są nadal nieprecyzyjne, co może rodzić w przedsiębiorstwach poczucie „krzywdy” z powodu odmowy kredytu.

Reasumując dotychczasowe rozważania warto podkreślić, że istotnym momentem w zmianie charakteru planowania jest odejście od systemu oceniania przedsiębiorstw na podstawie wskaźników wykonania planu. W zasadzie poza 8 przypadkami narzucenia przedsiębiorstwom zadań obligatoryjnych (w tym 4 z tytułu programów operacyjnych) nie wystąpiło regulowanie przy pomocy dyrektyw zadaniowych. Nie oznacza to, iż brak jest prób zakamufłowanego komenderowania przedsiębiorstwami ze strony zrzeszeń czy organu założycielskiego. Wprawdzie zakres oddziaływania dyrektywnego poważnie zmniejszył się, to jednak — według opinii respondentów — resorty częściej posługują się instrumentem tzw. zaleceń resortowego jako substytutem tradycyjnych dyrektyw. Kadra kierownicza przedsiębiorstw reprezentuje pogląd, iż mnożenie owych zaleceń stanowi zagrożenie dla samodzielności przedsiębiorstw w dziedzinie planowania i samodzielności przedsiębiorstw w ogóle.

2. PROGRAMY OPERACYJNE I ZAMÓWIENIA RZĄDOWE

Programy operacyjne i zamówienia rządowe stanowią ważne rozwiązania mające służyć eliminowaniu podstawowych wąskich gardeł w gospodarce i zaspokojeniu elementarnych potrzeb konsumpcyjnych w okresie, gdy skuteczne działanie mechanizmu rynkowego ze względu na głęboką nierównowagę jest w wielu dziedzinach niemożliwe.

U podstaw koncepcji programów operacyjnych i związanego z nią rozdzielnictwa surowcowo-materiałowego legło przekonanie o potrzebie przyznania priorytetów zaopatrzeniowych dla istotnych ze społecznego punktu widzenia, kierunków produkcji. Na 49 badanych przedsiębiorstw 31 uczestniczyło w 1983 r. w realizacji programów operacyjnych. Zdecydowana część badanych przedsiębiorstw wykonywała jeden lub więcej programów operacyjnych.

Na podstawie ocen formułowanych przez respondentów można wnioskować, że przedsiębiorstwa nie miały trudności z uzyskaniem „wejścia” do programów operacyjnych. Badane przedsiębiorstwa na ogół kontynuowały realizację owych programów, które narodziły się w 1982 r. Odnotowaliśmy tylko jeden przypadek charakterystyczny dla tym, że przedsiębiorstwo starające się o udział w programie operacyjnym spotkało się z odmową. Warto także skonstatować, że w badanej zbiorowości nie stwierdziliśmy zastosowania zasady przetargu efektywnościowego przy zlecaniu produkcji objętej programem operacyjnym.

Z badań wynika wniosek o istotnych implikacjach dla obiegowego sądu o obligatoryjnym charakterze zadań ujętych w programach ope-

racyjnych. Z poprzednio przytoczonych danych wynika, że zadania zawarte w programach operacyjnych tylko w 4 przedsiębiorstwach miały charakter obligatoryjny. A więc dyrektywność zadań pozostaje w przeważającej liczbie przypadków tylko formalną cechą rozwiązań przyjętych w systemie programów operacyjnych. Powodem tego jest niedostateczne pokrycie potrzeb materiałowo-surowcowych przedsiębiorstw realizujących programy operacyjne. W związku z tym organ założycielski rozliczający przedsiębiorstwo z wykonania określonego programu operacyjnego nie ma podstaw do zastosowania sankcji w przypadku niepełnej realizacji zadań programu. Stąd należy wysnuć konkluzję o iluzoryczności obligatoryjnego charakteru zadań produkcyjnych wypływających z programów operacyjnych.

Innowacją systemową roku 1983 było wprowadzenie zamówień rządowych jako instrumentu kształtowania pożądanej struktury produkcji dóbr rynkowych i zaopatrzeniowych. Zamówienia rządowe stanowią podstawę zawierania przez przedsiębiorstwa umów o dostawę określonych materiałów i wyrobów, przy czym stroną zamawiającą jest upoważniona przez właściwy organ jednostka organizacyjna. Przyjmując zamówienia rządowe przedsiębiorstwo zobowiązuje się do dokonania określonych ilościowo i jakościowo dostaw w terminach i na warunkach objętych umową, natomiast strona rządowa gwarantuje przewidziane umową zaopatrzenie materiałowe i odpowiednią pulę dewizową dla tej produkcji. Ponieważ umowa zawierana jest na ogólnych warunkach, przedsiębiorstwo nie ma obowiązku przystąpienia do niej. Dlatego też przewidziane są specjalne zachęty dla przedsiębiorstw podejmujących produkcję szczególnie ważnych artykułów. Zachęty te obejmują ulgi w podatku dochodowym, ulgi w obciążeniach na PFAZ i preferencyjne warunki kredytowania.

Badania empiryczne wykazały, że zaledwie 10 analizowanych przedsiębiorstw (20 proc.) realizowało produkcję objętą zamówieniami rządowymi. Respondenci stwierdzili, iż w 8 przypadkach przedsiębiorstwo mogło odmówić przyjęcia zamówienia rządowego, zaś w 2 przypadkach było to „propozycja nie do odrzucenia”, przekazana w trybie nakazowym przez organ założycielski.

Z zebranych materiałów wynika, że w 8 przypadkach zamówienia rządowe zostały przyjęte przez przedsiębiorstwa na skutek korzyści ekonomicznych wyrażających się w poprawie wyniku finansowego i wzroście produkcji oraz stopnia wykorzystania aparatu wytwórczego. W 2 przypadkach zawarcie umowy dokonało się przy użyciu nacisku i nacisków nieformalnych. W tym kontekście warto odnotować negatywny fakt, a mianowicie niewykorzystanie przetargu efektywnościowego jako sposobu ułożenia zamówień rządowych u odpowiednich producentów. Przetarg efektywnościowy zapewniłby optymalne zagospodarowanie rzadkich czynników produkcji.

Przedmiotem zamówień rządowych objęta była w 4 przypadkach produkcja rynkowa, w tej samej liczbie dostawa dóbr zaopatrzeniowych, w 1 — przypadku budownictwa mieszkaniowego oraz w 1 — produkcji specjalnej. Zdecydowana większość przedsiębiorstw realizujących zamówienia rządowe (9) reprezentuje pogląd, że przyjęcie zamówienia jest dlań korzystne. W opinii kadry kierowniczej przedsiębiorstw korzyści ekonomiczne wypływające z realizacji zamówień rządowych przejawiają się w:

- gwarantowanym zaopatrzeniu w surowce i materiały, zarówno krajowe jak i zagraniczne (4 przypadki),
- ulgach w podatku dochodowym i obciążeniach na PFAZ (3 przyp.),
- możliwości zwiększenia płac dla pracowników produkcyjnych, co pozwala na zahamowanie odpływu siły roboczej z zakładu (2 przyp.),
- przyznaniu środków dewizowych (1 przypadek).

Powodzenie zamówień rządowych jako instrumentu usuwania podstawowych wąskich gardeł w gospodarce zależy od spełnienia kilku ważkich warunków:

- lista grup towarowych objętych zamówieniami rządowymi nie powinna być zbyt długa; wystarczyć jej ograniczenie do artykułów wyraźnie priorytetowych. Zamówienia rządowe muszą przede wszystkim gwarantować zaopatrzenie niezbędne do podjęcia produkcji i ewentualny przydział dewiz. Negatywne doświadczenia wynikające z funkcjonowania w 1982 r. nadmiernie rozbudowanych programów operacyjnych stanowią ostrzeżenie przed szkodliwością podobnych praktyk w przypadku zamówień rządowych;

- zamówienia rządowe powinny być lokowane w trybie przetargów efektywnościowych o partych na kryteriach materiałochłonności produkcji, jakości produktu i jego cenie;
- sposób zawierania umów nie może naruszać zasady samodzielności przedsiębiorstwa. Stosowanie dyktatu przez organ założycielski w celu zmuszenia przedsiębiorstwa do zawarcia umowy może uczynić z zamówień rządowych „obce ciało” w mechanizmie reformy.



Samodzielność przedsiębiorstw, mimo licznych ograniczeń, stanowi trwały element polskiej reformy, jeden z filarów reformowanego systemu funkcjonowania gospodarki. Próby osłabienia tego elementu podejmowane przez różne ognia administracji gospodarczej w imię obrony interesu ogólnospołecznego i zapewnienia większej sterowności gospodarki mogą spowodować zawalenie się gmachu reformy. Nie oznacza to, że wierność zasadom reformy wymaga eliminacji wpływu państwa na działalność przedsiębiorstw. Byłoby to absurdalne wnioski. Problem polega na tym, aby oddziaływanie państwa na przedsiębiorstwa oparte było o reguły systemowe, zapisane w dokumentach stanowiących swoistą konstytucję reformy. Niektóre z owych dokumentów np. ustawa o przedsiębiorstwach państwowych, określają przypadki, w których dopuszczalna jest ingerencja organu założycielskiego w działalność przedsiębiorstwa.

WITOLD KASPERKIEWICZ

Mniej Osmańczyka

1.

Zamiast tradycyjnego motu fragmentu spektaklu pt. „Xiąż Józef Poniatowski ze stemplem 1946” zaprezentowanego w tymże roku w Teatryku „Zielona Gęś” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego (druk: „Przekrój” nr 80; rok 1946):

„CHOR NOWYCH POLAKÓW: Pracować trzeba jak cholera. Czyśmy to jacy tacy? Więcej Osmańczyka, mniej

Grottgera i wszystko będzie cacy. (...)”

2.

Gałczyński napisał tę „Gęś” jesienią 1946 roku, bodajże w październiku. Właśnie w katowickim wydawnictwie AWIR ukazał się zbiór drukowanych przez całe lato w „Przekroju” szkiców Edmunda Osmańczyka „Sprawy Polaków”.

Dziwna to była książka. Trwała jeszcze powojenna euforia zwycięstwa, a Osmańczyk już martwił się, czy nie przegramy pokoju, już wskazywał na niebezpieczeństwa i słabości Polski oraz jej obywateli w stosunku do wszystkich sąsiadów. Latem 1946 roku rozpoczynała się szczytowa faza walki politycznej w kraju, w lasach ciagle ostro strzelano, a w Bieszczadach toczyła się regularna wojna z pogrobowcami „samostijnoji Ukrainy” — zaś Osmańczyk domagał się od Polaków zgody narodowej i jednolici. I to w sprawie najważniejszej — w sprawie budowy silnego państwa, podczas gdy niewiele jeszcze zaawansowana była odbudowa tego, co w czasie wojny straciłmy, a w codziennym bycie kraju więcej było kibiców niż uczelnie pracujących.

Dziwna to była książka — szarpająca nerwy, „bolesna i okrutna”, jak napisał o niej prof. Jan Szczepański, który też zauważył, co następuje: „Sprawy Polaków” przedstawiały platformę przemyśleń i zbudowania postaw realnych dla perspektywy nadziei, budowanej nie na mistycznych siłach, ale na realizmie codziennej pracy. Wielu ludzi w Polsce nie akceptuje tej wizji”.

Powiedzmy jasno — nie tylko w latach czterdziestych, na początku Polski Ludowej — do dzisiaj wielu Polaków tej wizji nie akceptuje. W 1946 roku Osmańczyk wywołał pewien szok (i spore zainteresowanie swą koncepcją), ponieważ zaatakował bardzo ostro stereotyp Polaka zbrojnego, walczącego bez liczenia się z kosztami, a przeciwstawił temu stereotypowi innego Polaka — pracowitego, konsekwentnego i cierpliwego. Takiego, jakim sam był i tysiące innych Polaków, członków tego narodu, lecz obywateli Rzeczypospolitej przed wojną... On i jego współplemieńcy spod znaku Roda przetrwali jasno wiedzieli, że swą świadomość narodową mogą wygrać tylko w ostrej konkurencji codziennej, na polu gospodarczym i w oświacie, z potężnym żywiołem niemieckim, wspieranym przez silne państwo. Rzeczpospolita niepodległa w międzywojennym dwudziestolecu nie kwapiła się z realną pomocą dla nich. Ale gdy powstała na nowo w roku 1945 i doszła do Odry i Nysy Łużyckiej, pokolenie Polaków przedtem na tych ziemiach urodzonych i wychowanych miało za sobą twardą lekcję realizmu, wiedziało, że tylko silne państwo może nam wszystkim raz na zawsze zagwarantować niepodległość, suwerenność i byt narodowy. Z tego przekonania wywodzi się „Sprawy Polaków” — refleksje publicysty sprzed lat prawie czterdziestu, bolesnie aktualne do dziś.

3.

Egzemplarz któregoś z pięciu kolejnych wydań „Spraw Polaków” w latach czterdziestych przechował się w naszej domowej bibliotece, bowiem ojciec nie musiał oddać książki na przemiał, jak zrobili to liczne biblioteki szkolne, pub-

liczne, a nawet uniwersyteckie (choć w tych ostatnich Osmańczyk trafiał raczej pod klucz, do działu ściśle strzeżonych prohibitorów). Dzięki temu na początku lat sześćdziesiątych przeczytałem „Sprawy Polaków” po raz pierwszy, acz nie jedyny. Nie ukrywam, że książka ta była dla mnie — kilkunastoletniego wtedy chłopaka — pierwszą praktyczną lekcją politycznego myślenia. Przesianiu tej lekcji pozostałem, jak sądzę, wierny do dziś. Do dziś czerpię z poznanej wtedy zasoby argumentów, posługuję się osmańczykowskim realizmem, na tym tekście ciągle uczę się głoszenia rzeczy i poglądów niepopularnych i nieakceptowanych, chociaż racjonalnych.

To tylko jeden z powodów, dla których z niekłamnym zalem na początku musiałem postawić tytuł „Mniej Osmańczyka”. Drugim, nie mniej ważnym i wcale nie ostatnim, z powodów tego żalu jest głęboki szacunek, jaki żywię dla Edmunda Jana Osmańczyka — posła Ziemi Opolskiej, dziennikarza i polityka o randze międzynarodowej.

4.

Ale milczenie w kwestii, którą chcę tu podnieść, byłoby sprzecznością — także ze względu na ideaty i argumenty, które przyswoilem sobie dzięki Osmańczykowi.

Chodził mi o działalność posła Osmańczyka w dziedzinie szeroko pojmowanych stosunków między Polską a polską emigracją — tu poglądy głoszone przez posła Osmańczyka budzą mój głęboki szacunek.

Sprawa ma jakby dwie płaszczyzny. Mniejsza z nich i bardziej konkretna to tzw. kwestia paszportowa. Natomiast większa i ogólniejsza dotyczy kwestii budowy pomostu między krajem a emigracją, jak to obrazowo określa sam Osmańczyk.

Szczegółowo o sprawie paszportów nie chcę wspominać, zresztą została ona uregulowana przez ustawę, która za półtora miesiąca znacznie obowiązywać. Można się tu oczywiście spierać, czy słusznie uczyniono, pozbawiając obywateli możliwości zaskarżenia decyzji w sprawach paszportowych do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Nie mam w tej kwestii zdecydowanego poglądu, ale intuicja prawnicza każe mi mniemać, że taka możliwość mogła byłaby stworzyć z wyrażoną korzyścią dla społeczeństwa poczucia praworządności. Ale już np. sprawa posiadaczy tzw. paszportów konsularnych jest przez Osmańczyka przedstawiana zgola absurdalnie — prawo do bezpłatnego przekraczania granicy nie jest prawem konstytucyjnym, a taki przywilej dla ludzi nie ponoszących żadnych ciężarów na rzecz państwa byłby dalece niesprawiedliwy. Jest to jednak sprawa, o której nie chcę rozwinąć się szerzej.

5.

Czym innym wszakże jest „budowanie pomostów”, jeśli już trzynąć się osmańczykowskiej terminologii. Z zalem, dbając o zwięzłość wywodu, muszę pominąć tu arcyciekawą kwestię gospodarczych związków z emigracją, w postaci tzw. firm polonijnych. Jest to temat na inne opowiadanie.

Prawie czterdzieści lat temu Osmańczyk — właśnie w „Sprawach Polaków” — napisał tak: „Cały ciężar pracy nad odbudową Polski, więcej, pracy nad stworzeniem warunków istnienia silnej Polski (...) spoczywa dziś, jak wczoraj i jutro, na Polakach w kraju. Emigracja jest stanem nienormalnym narodu. Utrzymywanie tej nienormalności w rozmiarach podważających siłę kraju jest argumentem politycznym za drogą, jak na nasz biedny naród. (...) Do Polaków w kraju istnieje dla emigracji tylko jeden most: praca dla Polski. Ale praca realna ręką i umysłem, a nie uczucie i szumnych słów”. Dzisiaj poseł Osmańczyk zmienił zdanie. W mowie sejmowej z 6 lipca 1982 roku po-

wiedział: „W 1946 roku pisząc „Sprawy Polaków” postawiłem emigracji naszej pytanie: most czy przepaść? Wtedy sytuacja była taka, że odpowiedź dać mogła tylko emigracja. Potrzebowaliśmy wówczas wielu rąk i umysłów do pomocy przy odbudowie zrujnowanego wojną kraju. Dziś sytuacja jest odwrotna.” A wcześniej w tej samej mowie: „To, co potrzebne, więcej — co konieczne jest dziś krajowi i emigracji, to całkowicie wyzwolenie się od polityczno-historycznych uwikłań, w których uprzęśliśmy po szyję i zapadamy się już w sposób beznadziejny”.

Nieprawda — nie się nie zmieniło. Nadal jest jedna Polska, między Bugiem a Odrą. I to realnie istniejące państwo jest sprawą wyłącznie naszą — tu mieszkających Polaków. Niczyja inna... Złazsza nie jest sprawa tych, którzy swój los dobrowolnie wybrali poza Polskę. Umówmy się bowiem, że poza nielicznymi wyjątkami, Polska nigdy nikogo ze swych obywateli bezapelacyjnie i „za karę” nie usuwała poza granicę. Prawda jest, że różnie i nie zawsze najwłaściwiej postępowano z tymi, którzy wyjeżdżali i wracali, ale rzecz nie w obrażaniu się na ojczyznę — nawet gdy popełnia błędy.

Nie oznacza to, że komukolwiek, kto czuje się Polakiem odmawiam prawa do polskości — rzecz to indywidualna, a nawet powiedziałbym — intryna. Ale ci, którzy swój los świadomie wybrali, lub mu się skutecznie nie przeciwstawili, nie mają w mojej ocenie żadnych praw. A zwłaszcza prawa do współgospodarzenia, do czego zdaje się zmierzać koncepcja Osmańczyka. Pan poseł proponuje, abymy przy pomocy ustaw zbudowali solidny most do swej emigracji — taki, jaki mają narody skandynawskie, germańskie, łotewskie czy anglosaskie. Pan poseł jest uprzejmy zapominać, że tamte mosty nad granicą stoją wewnątrz jednolitego na ogół obozu ideologicznego. Most między Polską a jej diasporą przekraczałby nie tylko granice państwowe, ale przede wszystkim ustrojowe, systemowe. I to jest ta maleńka różnica, dla której nie wolno się zgodzić na wyprowadzanie przynajmniej, na jakiegokolwiek koncesje...

To, co nas łączy (mam tu na myśli siebie i mych współtowarzyszy) z emigrantami różnej maści, to tylko cieniutka warstewka lukru, ukroconego z sentymentów, wspomnień, folkloru, z abstrakcyjnej miłości do Polski do plakatów — kraju wierz, Chopina, Pułaskiego i Kościuszkę, w którym gdzieś jest ta wioska tatula albo matuli. To o wiele za mało do budowania jakiegokolwiek wspólnoty, poza emocjonalną, albowiem poza nią dzieli nas wszystko. Nie chcę się porozumiewać z emigrantami, albowiem są mymi wrogami ideowymi i politycznymi. Dokonałmy sprzecznych z sobą wyborów...

6.

Z dwóch Osmańczyków wolę poglądy tego sprzed czterdziestu lat, niż poglądy posła Ziemi Opolskiej AD 1982 — 84.

W tym miejscu muszę uczynić dwa zastrzeżenia. Po pierwsze — oświadczyć, że jestem związany z żadną emigracją, nie mam nikogo z rodziny za granicą. Być może wpływa to na radykalizację mego punktu widzenia — nie chcę zaprzeczać. Po drugie zaś — żadną miarą nie chciałbym podważać rzeczywistego wkładu niektórych przedstawicieli polskiej emigracji w rozwiązywanie naszych problemów ani dezawuować pomocy, jakiej Polsce oni udzielają...

...Ale pamiętać musimy o najważniejszym — tu i tam są Polacy, tylko Polska jest jedna — tu i nigdzie więcej. Ta konkretna, współczesna socjalistyczna Polska żadnych pomostów dla swoich rodaków i byłych obywateli budować nie musi. Mamy ważniejsze problemy do załatwienia.

TOMASZ SAS

Dokończenie ze strony 1

handlowcom — pytałem ludzi o obu stronach ludy. Zaczynamy od wypowiedzi klientów.

PRZEPISY DOBRE, ALE PRAKTYKA SWOJA DROGA

— Kodeks konsumenta? Nie wiem, nie słyszałem. To pewnie coś takiego, jak te dawnejsze napisy, że klient ma zawsze rację. Inicjatywa — poza napisaniem — nie wynikała... — Znam, owszem. W telewizji omawiali, potem przeczytałam w sklepie. Akurat tak się złożyło, że kilka dni później kupowałam konserwę, wolowina z grochem, w słoiku. Zamknęty był, jak się wydawało, dobrze, data produkcji niedawna, a jednak po otwarciu okazało się, że zawartość jest skażona. To nie był wielki wydatek i normalnie po prostu wyrzuciłabym. Ale przejęłam się swoimi prawami, zaniósłam z powrotem do sklepu. I tu się zaczęło: a skąd mam wiedzieć, że pani tu kupiła, a nie w innym sklepie, a może w domu stał długo otwarty i się zepsuł, a teraz ja mam ze swojego płacić, wygląda całkiem dobrze, nie ma tam żadnych zmian, nie będę próbować, bo nie mu-

się tak: handlowcy przecież wiedzą, jakie sprządy są najczęściej reklamowane. Z każdej dostawy powinno się więc część zostawiać na wymianę. Może nie w każdym sklepie, bo potem może być różnie: kierownik oddały na ewentualną wymianę, a inny klient zrobi awanturę, że ukrywa na handel od tyłu. Ale zrobić jeden specjalny sklep, czy wymienić bezpośrednio w hurtowni. Dotyczyłoby to tylko towarów droższych, kupowanych raz na kilka lat. Jak już ktoś po wielu trudach zdobędzie ten telewizor czy pralkę, to niech ma z tego pożytek, a nie znowu kilka miesięcy czekania. Z tańszymi rzeczami, jak np. odblaski czy buty, nie ma takich problemów. Nie można wymienić rozlatującej się pary na taką samą dobrą — weźmie się pieniądze i kupi w innym sklepie...

— Zwróciłam uwagę na jeden przepis: że można reklamować także towary przeznaczone. Zawsze przy takich rzeczach była wywieszka, że nie podlegają reklamacji, a teraz można, jeśli ujawnia się inne wady, niż te, z powodu których nastąpiła przecena. To bardzo słusne postanowienie.

— Wiem, że ukazały się nowe przepisy, widziałam nawet odpowiednie wywieszki w sklepach. Nie czytałam, bo i po co? Jak będzie dużo pracowników, handlowcy będą zabiegać o klienta, to będzie można mieć o jego prawach, stawiać wymagania. Ale tak jak jest teraz — nie pomogą nawet

niektóre z nich są już chyba przylepami. Np. roczny termin gwarancji na wózki dziecięce. Jeśli coś się zepsuje po miesiącu czy dwóch — to jasne, trzeba szybko zreperować lub wymienić. Ale tak się jakoś dziwnie składa, że do mojego sklepu masowo trafiają wózki tuż przed upływem terminu gwarancji. Producent naprawiał, w międzyczasie mijał termin, z czego reklamujący tylko się cieszył. Brał pieniądze — a niepotrzebny (bo dziecko już odchowane) wózek, bardzo zniszczony, nie nadający się do powtórnej sprzedaży, zostawał w sklepie. Myślałam, że w takich przypadkach należałoby potrącać sumę amortyzacji. Przecież używał tego sprzętu przez prawie 13 miesięcy...

— Przepisy mówią o tym, że klientowi, zgłaszającemu się z reklamacją, można obniżyć cenę na wadliwy towar. Myślałam, że wielu by z takiej możliwości skorzystało. Za odebraniem części pieniędzy mogłoby usunąć uszkodzenie w punkcie usługowym, lub, jeśli jest to wada nie uniemożliwiająca korzystanie ze sprzętu, lecz np. tylko obniżająca estetykę — po prostu, w zamian za obniżenie ceny, odstąpiłoby od reklamacji. W obecnych warunkach jednak nie korzystają z takiego rozwiązania, trwa to bowiem zbyt długo. Zakupiony artykuł trzeba zostawić w sklepie, nową cenę musi ustalić komisja. Sądzę, że kierownikom placówek warto by okazać więcej zaufania i umo-

Turyści

ROMAN KUBIAK

„Przedsiębiorstwo Turystyczne w mieście Z., oferuje wycieczki jednodniowe do Warszawy, Lublina i Majdanki, Częstochowy, Łańcuta i Łodzi”.

ŁÓDŹ, godzina 7.50. Parking na „Manhattanie”.

Są już trzy, a właśnie podjeżdża czwarty. Autobusy turystyczne — wygodne, czyste z dużymi napisami na burtach. Ten czwarty to autokar zakładowy. Wygląda raczej mizernie w towarzystwie Berlietów i Ikarusów.

Goście przyjechali. Turyści do miasta Łodzi. Dziś podróżnicza pasja przywiodła ich z Radomia, Kielc, Plocka. Obok równo ustawionych autobusów stoją silniki Fiatów, Polonezów, Skod, Trabantów — to wehikuły indywidualnych turystów. Są: rzeszowiacy, poznaniacy, warszawiacy. Wozu z rejestracją częstochowska, plocka, kielecka, skierniewicka, sieradzka. Zjechał chyba wszyscy krajowcy. Za granicą wybierają widać inne szlaki. Ich strata!

Notowania ostatnich trzech dni. Wtorek — POZ, CZH, PLE, RAA, KLA, RAA, CHA, BBC, SIL, SIS, PTI. Środa — RAA, TAC, TAA, SEB, CZB, WAA, WAR, PIA, SKT, SIS. Czwartek — RAA, PLA, RZB, SKB, SKT, PTH, PTA, TOC, OLA.

Miłośnikom motoryzacyjnych cacek oraz ostatnich nowości made in Japan, made in Germany, made in France, polecam inne miejsca. Kilka kroków dalej, na małych parkingach przy ul. Sienkiewicza, al. Kościuszki, ul. Rosevelta, można owe lśniące cudowne oglądać do woli już od najwcześniejszych godzin rannych.

Stoją tam właśnie, bowiem w samochodowym światku, grubym nietakiem jest wjazd desłowskiej arystokracji pomiędzy krajowe toczydła. Zresztą, ich skierniewicy i warszawscy właściciele przyjechali wcześniej i zapewne teraz czekają pokornie na otwarcie bram Muzeum Sztuki czy kas Filharmonii.

Można zatem dotknąć rubinowej karoserii Datsuna Charade (rocznik 83), spoglądać do wnętrza Datsuna czy Lancii, napisać palcem „brudas” na szybach: Mercedesów, Opl, Citroenów...

Wycieczka opuszcza autokar. Zaspasane oczy, ziewające usta. Prawie wyłącznie kobiety. Zamiat fotograficznych aparatów, ilustrowanych przewodników, dzierżaw w rękach, raczej dużego formatu, torby, torebki, siatki, koszyki. Kierunek — CENTRAL!

7.55. Turystki powiększają tasimcowy ogonek przed wejściem do „Centralu”. Mieszą się z tubylcami i innymi przyjezdnymi. Napiecie rośnie. Setki oczu wpatrzone we wskazówki zegara zawieszzonego na froncie budynku. Jeszcze trzy, dwie, jeszcze minuta. Kilka osób biega niecierpliwie od głównego do bocznego wejścia. Gdzie otworzą wcześniej? Chyba jednak głównie!

8.00. Poszli! Tempo znakomite! Wszyscy razem! Młodzi, starzy, mężczyźni, kobiety. Są już w pierwszym wirażu — dziesięć metrów od schodów. Panie, mimo zaawansowanego wieku i podobnie zaawansowanej tuszy, osiągnęły doskonałe wyniki na krótkich dystansach.

Już opanowali parter! Wpadają na schody! Na czele siwy pan w berecie. Ale dochodzą go młodsi. Sada po dwa, po trzy stopnie.

Ktoś gubi kapelusz. Ktoś wpląta guzik piaszka w siatkę rywalki. Starsza kobieta rezygnuje z laski i kontynuuje pogoń za czołówką. Wy-

pleki na twarzach. Pasja i rutyna. Siła i spryt. Obied.

8.03. Pierwsi klienci wychodzą z „Centralu”. Dziś nie mieli szczęścia. Byli najszybsi przy „swoich” stoiskach, ale nie „zucili”. Może jutro, a może pojutrze? Trzeba próbować.

Na parkingu tymczasem kierowcy autobusów kończą jeść śniadanie, układają się do snu.

— O której pan wyjechał z domu? — Kierowca Jędrza macha ręką w geście rezygnacji.

— O czwartej. Panie, na tej trasie można dostać bzika. Oczu mi wydrapają, jak nie zdąży przed ósmą. A jakby, nie daj Boże, awaria. Strach myśleć!

— Dokąd potem jedziecie?

Nigdzie więcej. Wracamy do domu. Czekamy do szesnastej. Zdrzemną się, potem pogramy w karty.

— Z kim?

— Z nimi — pokazuje na szoferką brata z sąsiednich autokarów.

— Panie, my tu się znamy prawie wszyscy. Ja jestem w Łodzi drugi raz w tym tygodniu. A razem, to już będzie — ho! ho!

— Co najczęściej kupują?

— Wszystko. Zawsze targają jakieś paki. Towary, buty, piasek, noże, dywany, zegary...

— Kiedyś zawalił mi wóz garnkami. Całą drogę to dzwoniło, że uszy pękają. W zeszłym tygodniu to jedna taka przytargała lodówkę. Ale na szczęście nie chciała wejść do wozu.

— Albo rowery. To już koniec świata. Pa-trzajcie sobie, a tu moi wracają i prowadzą rowery. To ja mówię, że nie jada, że nie ma miejsca. A te, jak na mnie nie wsiadły. Panie, trzydziści lat, to pan nie zakrzykasz!

— I co?

— Pojechałem. Ale potem to w lasy, stałem my chyba z godziną, bo nie sposób było wyjść za potrzebą.

— Dlaczego jedziecie właśnie do Łodzi?

— Mówią, że u was najlepiej ze wszystkim. Ja tam nie wiem, żona kupuje.

— Jak pan chce wiedzieć co, gdzie idzie, to zapytaj pan tego z Berlieta. On panu powie.

I rzeczywiście. Wiem już co idzie w Poznaniu, w Warszawie, w Bydgoszczy. Wiem, że Radom i kolorowe Neptuny jeżdżą do Wrocławia i Katowic. Wiem też, że Radom nie gardzi niczym. Wiem jeszcze to i owo. Może się przydać.

Około 11.00 odjeżdżają pierwsze samochody osobowe. Turyści muszą jeszcze zwiędzić: „Uniwersal”, „Pioniera”, „Teofila” i koniecznie „Modę Polską”. Być w Łodzi i nie widzieć „Uniwersalu” — hańba!

Piechurzy ruszą na szlak ulicy Piotrkowskiej. Jeśli dopisze szczęście, wyniosą słodycze z „Wędla”, herbatę z „Delikatesów”, koszuł z „Wółczanki”. Albo, jak wycieczka z Chełma, zapiją się przypadkiem na sybskrypcję trytomowego „Słownika języka polskiego”. Przechodzą właśnie, gdy przed księgarnią formowała się kolejka. Stanęli. Wszyscy brali, więc wzięli i oni. Może się przydać! Najwcześniejsze odjeżdża kremowy autokar P. T. „Brda”. Zatrzyma się jeszcze w Pabianicach. Atrakcje Pabianic? — SDH, „Domino”, sklepy firmowe „Pamotexu” i „Pola-mu”.

O zmroku umęczeni turyści zasiadają w wygodnych fotelach autobusów. Tyle było wrażeń. To nie jest zmęczenie, że boją nogi. To wszystko nie. Najważniejsze, że w torbach są pamiątki i upominki. A teraz szybko do domu. Ciężko rusza wycieczkowy Sano.

Do zobaczenia! Łódź żyje przyjemnie! pod-
dóży.

Niebawem spotkamy się znowu. Gość w dom...

Kodeks konsumenta w teorii i w praktyce

szę, a zresztą może pani tam czego nasyłała, wszyscy biorą i jakoś nikt nie oddaje, tylko pani... Mogłam oczywiście pójść od sprzedawcy, do kierownika sklepu, a gdyby i to nie dało efektów, jeszcze dalej, do dyrektora, albo do wydziału handlu, tylko po co tracić czas? Ze złości zostawiłam słoik na ladzie i poszłam. A przecież powinienam dostać nowy słoik lub, gdyby takich konserw już nie było, zwrot pieniędzy. Tak przynajmniej mówią przepisy. Oczywiście, gdyby chodziło o drogą rzecz, nie ustąpiłabym tak łatwo. Ale przepisy sobie, a życie swoją drogą. Tak było i tak będzie...

— Kupowałam niedawno spódnice. W tłoku, nie było warunków do przymiernenia. W domu okazała się za duża. Następnego dnia poszłam ją zwrócić. Owszem, ekspedientka przyjęła, ale potrącono mi 5 proc. Co prawda nie było to wiele, zaledwie 80 zł. Znałam nowe przepisy, nigdzie nie mówi się tam o potrącaniu, czegośkolwiek w przypadku zwrotu towaru. W sklepie wyjaśniono mi jednak, że istnieje przepis wewnętrzny. Nie wiem, czy faktycznie istnieje i kto go wydał, ale jeśli tak, to jest on nie tylko sprzeczny z uchwałą, ale i szkodliwy. Przecież — zwłaszcza w obecnej sytuacji zaopatrzeniowej — zachęca to ludzi do spekulacji. Następnym razem, gdy przypadkiem kupię coś niedopowiedzianego, nie zwrócę w sklepie, tylko sprzedam komuś, w najgorszym wypadku po tej samej cenie, a może i z zyskiem...

— Przepisy są dobre, ale nie są realizowane, nawet nie dlatego, że sprzedawca czy kierownik sklepu nie chce, czy lekceważy klienta. Kupiłem wariety telewizor. Reklamowałem rzeczoznawcy uznali, że nadaje się do wymiany. Powinno to nastąpić w ciągu dwóch tygodni — a jeśli nie, to za każdy dzień zwłoki sklep powinien mi płać karę. Ale dalej w przepisach mówi się, że klient może wyrazić zgodę na dłuższe oczekiwanie. Pewnie, że wyraziłem i będę czekał pół roku, albo i dłużej. Mogłam dostać z powrotem pieniądze, tylko na mi po nich, jak gdzieś indziej telewizora też za to nie kupię? My-

najlepiej przepisy, klient zawsze będzie pokrzywdzony...

NIECH I KLIENT MA OBOWIĄZKI

Z drugiej strony lady nie spotkałam się — jak to miało miejsce w przypadku wielu klientów — z nieznaną nowymi przepisami, ale i pracownicy handlu nadużywali tego typu uprawnień, przeceniając dobre towary, sprzedawane znajomym, lub dzieląc się powstałym w ten sposób zyskiem z klientem. Bywa, że trafiają do handlu nieuczciwi ludzie, ale ci nieuczciwi będą tacy bez względu na przepisy, a zresztą długo w sklepie nie popracują...

— Myślę, że za dużo w tej uchwale o prawach klientów, brak natomiast choćby wzmianki o obowiązkach także i tej strony. Jak bowiem zachować się wobec klienta, który chce zwrócić towar nie uszkodzony, wprowadzić i nie noszący śladów użytkowania, ale pozbawiony metek, nie mówiąc już o paragonie, a na odmowę przyjęcia reaguje awantura? Jakie sankcje zastosować wobec klienta, który usiłuje wciągnąć jako reklamację przedmiot, który najwyraźniej sam uszkodził? Wydaje mi się, że przed wejściem w życie uchwała powinna zostać skonsultowana i z klientami, i z pracownikami handlu. Dostaliśmy do zapoznania się jej projekt — a obecnie już obowiązujący tekst. Nie mieliśmy jednak możliwości zaproponowania jakichkolwiek, wynikających z praktyki zmian.

— Jak widać — obie strony w nowej uchwale widzą nie tylko dobre, ale także i złe strony, tych ostatnich zresztą wcale nie ma. Część z nich wynika zresztą nie z niedoskonałości przepisów, lecz z faktem, iż przy obecnym stanie rynku bardzo trudno niektóre z postanowień uchwały prawidłowo realizować. A więc i w tym przypadku najlepszym rozwiązaniem, zmierzającym do tego, aby ludzie z obu stron byli zadowoleni z wzajemnych kontaktów, będzie poprawa zaopatrzenia.

— Klient musi mieć jasno określone i respektowane przez drugą stronę prawa, a

złiwid bardziej samodzielne działanie. Przychodzi klient, wspólnie ustalamy nową cenę, spisujemy protokół, który oboje podpisujemy i rozstajemy się w zgodzie. Nie przypuszczam, aby pracownicy handlu nadużywali tego typu uprawnień, przeceniając dobre towary, sprzedawane znajomym, lub dzieląc się powstałym w ten sposób zyskiem z klientem. Bywa, że trafiają do handlu nieuczciwi ludzie, ale ci nieuczciwi będą tacy bez względu na przepisy, a zresztą długo w sklepie nie popracują...

— Myślę, że za dużo w tej uchwale o prawach klientów, brak natomiast choćby wzmianki o obowiązkach także i tej strony. Jak bowiem zachować się wobec klienta, który chce zwrócić towar nie uszkodzony, wprowadzić i nie noszący śladów użytkowania, ale pozbawiony metek, nie mówiąc już o paragonie, a na odmowę przyjęcia reaguje awantura? Jakie sankcje zastosować wobec klienta, który usiłuje wciągnąć jako reklamację przedmiot, który najwyraźniej sam uszkodził? Wydaje mi się, że przed wejściem w życie uchwała powinna zostać skonsultowana i z klientami, i z pracownikami handlu. Dostaliśmy do zapoznania się jej projekt — a obecnie już obowiązujący tekst. Nie mieliśmy jednak możliwości zaproponowania jakichkolwiek, wynikających z praktyki zmian.

— Jak widać — obie strony w nowej uchwale widzą nie tylko dobre, ale także i złe strony, tych ostatnich zresztą wcale nie ma. Część z nich wynika zresztą nie z niedoskonałości przepisów, lecz z faktem, iż przy obecnym stanie rynku bardzo trudno niektóre z postanowień uchwały prawidłowo realizować. A więc i w tym przypadku najlepszym rozwiązaniem, zmierzającym do tego, aby ludzie z obu stron byli zadowoleni z wzajemnych kontaktów, będzie poprawa zaopatrzenia.

TERESA JERZYKOWSKA



Panie pułkownik! Z przypadającą 19 stycznia rocznicą wyzwolenia Łodzi, wiążę się ściśle historią Łódzkiej Drukarni Wojskowej przy ul. Gdańskiej 130, którą pan kieruje od dwudziestu kilku lat. Ona to już w dwa dni później wydała drukiem pierwszy dokument o władzy państwowej: „Obwieszczenie Pełnomocnika Rządu” i wykaz zmienionych nazw ulic łódzkich. Drukarnia ta stała się głównym państwowym zakładem poligraficznym, drukującym pierwsze w tym czasie zarządzenia władz polskich i różne wydawnictwa wojskowe. W jakich okolicznościach pan, jako oficer w czynnej służbie wojskowej, znalazł się w Łodzi i objął kierownictwo drukarni?

na ławie szkolnej w gimnazjum, które teraz mu się materializowały.

Przez Piotrków, Zduńską Wólę, Kalisz i Poznań maszerował ze swym oddziałem pod Wrocław. Tu II Armia WP pod dowództwem gen. Karola Świerczewskiego zmagala się z przeważającymi siłami wroga. Po tem było forsowanie Nysy Łużyckiej i bitwa pod Rothenburgiem. W bitwie tej por Gardy został ranny. Celną strzałą snajpera z wieży kościelnej w Rothenburgu wyrwał go chwilowo z szeregów walczących. Miał jednak szczęście: kula trafiła w orzełek czapki, przebiła go i przeszła już mocno osłabioną po powierzchni głowy, raniąc ją nieznacznie. Po podjęciu rannego, ppor. Gardy wziął udział w bitwie pod Nieskami w kwietniu 1945 r.

ataku. Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niosła postawa żołnierzy mogła przynieść zagładę nam wszystkim. Chodziło przecież jeszcze i o inną sprawę. Za nami szły oddziały i pulki. Trzeba było utorować im drogę. Nie mogłem w takiej sytuacji zawieść moich żołnierzy. Musiałem być dla nich przykładem oficera odważnego i zdecydowanego. Prowadziłem więc ich i poprowadziłem naprzód.

Potem był Budziszyn. Tu rozegrała się jedna z najkrwawszych na tym odcinku bitew. Niemcy po zebraniu znacznych sił uderzyli na II Armie WP. Na nasze oddziały runęły niekiedy dotąd w bojach hitlerowskie jednostki pancerne, idące z południa na odciec Berlinowi. Cel kontruderzenia

utworzonym przyczółku w osiedlu Pötscha. Pod jego osłoną przeprowadziły się przez rzekę dalsze pododdziały pułku. Tu, 9 maja 1945 r. dotarła wieść o kapitulacji Berlina.

— Radość ze zwycięstwa była w pulku tym większa, — opowiadał plk Gardy, — że wielkie powodzenie i zdobycie terenów ostatnich dni zostały osiągnięte przy minimalnych naszych stratach. W czasie pościgu pułk miał zaledwie trzech lekko rannych żołnierzy.

Początkowo trudno było uwierzyć, że to już naprawdę koniec wojny. Niektórych dziwiło, że pułk został zebrany na białku, zamiast obsadzić linię Łaby. Po kilku godzinach sprawa się wyjaśniła. Okazało się, że dla II Armii WP wojna jeszcze się nie skończyła.

motch, zarządzających drukarnią był major Władysław Bortnowski, obecnie pułkownik rezerwy i profesor Uniwersytetu Łódzkiego.

Sukcesy Drukarni Wojskowej w Łodzi są naprawdę imponujące. W przeciągu 40 lat swego istnienia zapisała w swej kronice wiele pięknych osiągnięć i tak w ogólnopolskim współzawodnictwie pracy drukarnia otrzymała: w 1952 r. po trzykrotnym kolejnym zwycięstwie pierwszy sztandar, w 1956 r. również po trzykrotnym kolejnym zwycięstwie drugi sztandar Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Poligrafii i Głównego Zarządu Politycznego WP i w 1968 r. sztandar przechranił prezes Rady Ministrów i Centralnej Rady Związków Zawodowych we współzawodnictwie o najlepszy zakład w przemyśle poligraficznym. Przez okres następnych 13 lat tego współzawodnictwa, Łódzka Drukarnia Wojskowa znajdowała się zawsze w ścisłej czołówce zakładów poligraficznych w kraju. Ponadto w latach 1962—1979 we współzawodnictwie o kulturę, bezpieczeństwo i higienę pracy, Łódzka Drukarnia Wojskowa zdobyła w skali krajowej 7-krotnie I miejsce i 4-krotnie II miejsce. W sumie zakład ten w ciągu 40 lat swego istnienia zdobył aż 23 razy I i II miejsce w różnego rodzaju współzawodnictwach.



Z pola walki do kaszt drukarskich

Pytanie to skierowane do dyrektora wojskowego zakładu poligraficznego plk Mieczysława Gardę, początkowo wprowadziło go w pewne zakłopotanie. Nie bardzo kłopotliwe, niż na nieoczekiwane życzenie przywoływać wspomnienia sprzed kilkudziesięciu lat.

Po chwili milczenia mój rozmówca zaczął mówić:

— Fakt ten wiąże się ściśle z moją służbą wojskową, zwłaszcza z kampanią wojenną, odbyłą w latach 1944 i 1945. Punktem przełomowym w jego życiu był rok 1939.

— Gdy wybuchła wojna miałem 15 lat — snuł swe wspomnienia plk Gardy. — Ukończyłem w Przemyśle zaledwie trzy klasy gimnazjalne. Nie mogłem kontynuować dalszej nauki. Postanowiłem wziąć udział w wojnie przeciwko okupantom hitlerowskim. Ale na tę chwilę musiałem czekać długo — aż cztery lata, do chwili wyzwolenia Przemyśla 27 lipca 1944 r. W miesiące były już władze polskie i przyjmowały ochotników do wojska. — Ale czy z taką wiedzą mogę na coś się przydać w wojsku? — zastanawiałem się. — Spróbuję. W sierpniu tegoż roku zgłosiłem się na ochotnika do wojska polskiego i ku wielkiej mojej radości zostałem przyjęty. Otrzymałem przydział do drugiego zapasowego pułku II Armii w Rzeszowie. W ciągu trzech miesięcy przeszedłem wykształcenie w oficerskiej szkole piechoty w Lublinie i zostałem mianowany dowódcą pierwszego plutonu rusznic przeciwpancernych. W lutym wyruszyłem na front.

Podporucznikowi Gardemu, gdy znalazł się na pierwszej linii frontu, wszystko dookoła wydawało się zrazu nierealne. Było to jakby przedłużenie lektur historycznych, czytanych

Silnie umocniony na wzgórzu wórg przywitał maszerujące na równinie oddziały polskie gęstym ogniem karabinów maszynowych. Żołnierze rozspali się w tyraliere i zajęli pozycje obronne. Nie mogli atakować, gdyż odsłonięci zupełnie w czystym polu stanowili dogodny cel dla Niemców. Trzeba było przeciwdziałać niebezpiecznej akcji wroga i zepchnąć go z dogodnych stanowisk górskich.

Ktoś krzyknął: — Powstań! Naprzód! Kilka postaci podniosło się, ale momentalnie celne serie karabinów maszynowych wroga skosiły je jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Zapanowała złowroga cisza. W pewnym momencie poderwało się kilka oddziałów do ataku. Jakichś młodych oficerów krzyknął: — Chłopcy! Za mną! Kilka dziesiątów postaci ruszyło naprzód. W morderczym ogniu rekamów błętna kilku ciężko rannych padło. Są zabici. Ale większość doszła do stanowisk wroga i zmusiła go do odwrotu. Dopiero pod naporem czołgów oddział wycofał się i zajął pozycje obronne.

Jednym z tych, którzy poderwali oddziały do ataku, był ppor. Gardy. Nie traktował tego czynu bynajmniej jako bohaterstwa. Wrecz przeciwnie, sytuacja w takiej się wtedy znalazła, narodziła początkowo wszelkie jego odruchy.

— Są jednak w życiu człowieka chwile — opowiadał plk Gardy — w których zdobywa się na odwagę, nie zdając sobie może w pełni z tego sprawy. Leżąc wtedy obok innych na szosie pod silnym ostrzałem wroga, zrozumiałem, że trzeba było przerwać tę nieznosną sytuację. Byli w moim oddziale starzy doświadczeni w bojach żołnierze i oczekiwali ode mnie — młodego, odbywającego dopiero pierwszy swój chrzest bojowy — dowódcy, rozkazu do

wroga był wyraźny: rozbić skrzydło frontu okrążające Berlin od południa i zaskoczyć wojska radzieckie i polskie. Atak znacznych sił pancernych wroga doprowadził w pierwszej chwili do rozczłonkowania niektórych pozycji polskich. Przez kilkanaście dni toczyły się tu zacięte walki.

Zaden z żołnierzy i oficerów II Armii nie zapomni gen. K. Świerczewskiego z tamtych dni.

— W Klein Welka pod Budziszynem sztab II Armii WP kwaterował w odległości zaledwie 600—700 metrów od pierwszej linii frontu. Był to najcięższy okres walk II Armii. Napór znacznych sił wroga stale wzrastał. — Jeżeli cofniemy do tyłu sztab — mówił generał, — żołnierze broniąc tego odcinka nie wytrzymają naporu. Nasza obecność dodaje im siły i odwagi. — Odcinek załamywał się. Trzeba go było utrzymać za wszelką cenę. Powstrzymywał on nie tylko kontruderzenie niemieckie, ale zabezpieczał przegrupowanie kilku naszych dywizji do zajęcia stanowisk obronnych. W obwodzie pozostał tylko jeden batalion saperów. Decyzja generalna była szybka. Kilka błyskawicznych dyspozycji dla oficerów sztabu. — Ja idę tam! — powiedział na pożegnanie. Tam, to znaczy na odcinek najbardziej zagrożony. I poszedł. Aby dodać odwagi saperom i ich młodemu dowódcy, Karol Świerczewski osobiście poprowadził batalion. Odebrał utraczoną wieś, a pod wieczór zdobył drugą.

W bitwie pod Budziszynem ppor. Gardy odniósł drugą ranę od pocisku artyleryjskiego. Leżał kilka dni w szpitalu polowym.

Później znów poszedł na front i razem z jednostkami 28 pułku piechoty po przeprowadzeniu się I batalionu przez Łabę, znalazł się razem z innymi na

W pościgu za wycofującym się dużym zgrupowaniem wojsk hitlerowskich pod dowództwem marsz. Schörnera II Armia WP pomaszerowała do Czechosłowacji. W kilka dni później po kapitulacji wroga, wojska polskie wstrzymały pościg i wróciły do kraju. Ale nie nadszedł jeszcze czas odpoczynku. Przez kilka miesięcy oddział ppor. Gardę musiał stoczyć szereg walk i potyczek z innymi wrogiem — bandami upowskimi, grasującymi w Bieszczadach.

Wreszcie po 7 miesiącach walk z bandami, Mieczysław Gardy znalazł upragniony odpoczynek. Uzupełnił szkołę średnią, przeszedł kolejną wyższą szkołę dowódców, kurs dowódców sztabu i kurs operacyjny Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie. Przez pięć i pół roku pracował na odpowiedzialnym stanowisku w jednym z ośrodków wojskowych.

W 1961 r. został skierowany do Łodzi na stanowisko dyrektora miejscowej Drukarni Wojskowej.

— Złożyły się na to dwa momenty — opowiadał plk Gardy.

— Pierwszy to kredyt zaufania, jakim darzyło mnie Ministerstwo Obrony Narodowej, powierzając mi stanowisko kierownika w przedsiębiorstwie państwowym. Drugim, nie mniej ważnym momentem, było to, że znalazłem się w gronie oddanych mi ludzi, pochodzących jak ja z tego samego środowiska oficerów i podoficerów, którzy po zakończeniu wojny w 1945 r. zamienili karabin na kaszt drukarski. Miałem wspominać tych ludzi, przy pomocy których Drukarnia Wojskowa mogła rozwijać się i osiągać sukcesy. Byli to m.in. kapitan Józef Krygier, sierżanci: Leon Kukulka, Stanisław Mazur, Stanisław Iliński i Mateusz Rozbicki. Jednym z poprzedników

— Nasza drukarnia — uzupełniał dyrektor Gardy — może poszczycić się jeszcze innymi sukcesami. Jednym z akcentów reformy gospodarczej była zorganizowana przez naszą drukarnię w 1980 r. pierwsza w wojskowym przemyśle poligraficznym giełda pomysłów wynalazczych. Wyniki tej giełdy przeszły nasze oczekiwania. Zgłoszono 72 projekty racjonalizatorskie i nowatorskie, w tym 21 z dziedziny bezpieczeństwa i higieny pracy. Zakupiliśmy 62 pomysły, z których większość po przeanalizowaniu została wdrożona w naszym zakładzie. W rok później ogłosiliśmy drugą giełdę pod hasłem: „Oszczędzamy materiały i energię”. Był to nasz odzew na apel premiera i generała armii Wojciecha Jaruzelskiego o oszczędność gospodarkę surowcami i obniżenie kosztów produkcji. W ogóle w ruchu racjonalizatorskim upatrywaliśmy główną dźwignię poprawy naszej gospodarki. W ostatnich trzech latach liczba zgłoszonych w naszej drukarni patentów wzrosła 7-krotnie. Było to możliwe dzięki nauczaniu sterowaniu ruchem wynalazczym poprzez skatalogowanie procesów ręcznych, opracowanie tematów do rozwiązania, dobrze prowadzoną pracę w Stowarzyszeniu Inżynierów i Mechaników Polskich i w Zakładowym Klubie Techniki i Racjonalizacji, które w branży poligraficznej w okręgu łódzkim zajmują czołową lokatę.

— Czy wasza drukarnia współpracuje z innymi zakładami?

— Tak. Współpracujemy z kilkoma ośrodkami naukowo-badawczymi w Łodzi, Warszawie i Lublinie. Wynikiem tej współpracy jest podpisana ostatnio umowa z Instytutem Papiernictwa i Maszyn Papierniczych Politechniki Łódzkiej oraz Branżowym Ośrodkiem Rozwoju Przemysłu Poligraficznego w Warszawie. Umowa ta dotyczy budowy (w produkcji antymportowej) pierwszego w Polsce urządzenia do wykonywania form drukarskich fotopolimerowych o dużym znaczeniu dla gospodarki krajowej.

— A w Lublinie?

— Nawiązaliśmy w ubiegłym roku kontakt z lubelskim Ośrodkiem Postępu Organizacyjno-Technicznego. Współ z tym ośrodkiem przeprowadziliśmy po raz pierwszy w kraju próby zastosowania wibroizolatorów w maszynach typograficznych. Wyniki prób tych był naprawdę negatywny, ale potwierdził możliwość ich zastosowania w innych maszynach i urządzeniach poligraficznych. Ponadto jesteśmy w stałym kontakcie z takimi wydawnictwami, jak Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Ossolineum, Wydawnictwo Łódzkie i inne, dla których na zamówienie drukujemy dzieła i czasopisma w różnych językach.

— Przeżył pan w swoim życiu wiele złych i dobrych chwil. Które z nich najbardziej utkwiły w pańskiej pamięci?

— Do najcięższych chwil mego życia zaliczam dwa momenty. Pierwszy, który miał miejsce w Jabłonce, kiedy jako dowódca jednej z grup szkole-

niowych zostałem przedstawiony przez gen. Stanisława Popławskiego przebywającym wówczas na inspekcji w obozie prezydentowi Bolesławowi Bierutowi, marszałkowi Michałowi Roli-Zymierskiemu i towarzyszącym im generałom i oficerom. Otrzymałem wtedy z rąk prezydenta za osiągnięcia w szkoleniu bojowym pododdziału nagrodę pieniężną. Drugim ważnym momentem w moim życiu było spotkanie z I sekretarzem Komitetu Centralnego partii, premierem W. Jaruzelskim w październiku 1983 r. Na spotkaniu tym wraz z innymi zasłużonymi oficerami zostałem wpisany do Honorowej Księgi Członków Żołnierzy i otrzymałem nagrodę MON w dziedzinie nauki i postępu techniczno-organizacyjnego.

— Czy znajduje pan czas na wypoczynek, na uprawianie jakiegos hobby?

— Niewiele czasu starcza mi na rozrywkę. Jeżeli taki czas się znajdzie, to chętnie uprawiam w swoim ogródku działkowy róż.

— A co pan czyta?

— Codziennie prasę.

— A z książek?

— Dzieła klasyków: Mickiewicza, Sienkiewicza, Żeromskiego i innych pisarzy. Najchętniej jednak studiuję fachową literaturę poligraficzną.

— A życie towarzyskie? Czy spotyka się pan w szerszym gronie z dawnymi towarzyszami broni?

— Rzadko kiedy. Ciągła troska o rozwój zakładu przesłania nam życie towarzyskie. Czasami żał mi trochę, że starsza brać frontowa poszła w rozsypkę. Kontaktu z nią są rzadkie, od przypadku do przypadku. Ale trudno, wszyscy dziś pozostajemy pod przemożnym wpływem specjalizacji zawodowej. Weterani wojskowi również muszą dotrzymać kroku swoim kolegom w cywilu, bo inaczej znajdziemy się poza nimi. A przecież chodzi nam o to, by nie noddawać się zstępszeniu, zdystansowaniu przez innych.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Prezydent B. Bierut i marsz. M. Rola-Zymierski (z lewej) oraz gen. broni S. Popławski (z prawej) w rozmowie z wyróżnionym na ćwiczeniach w obozie w Jabłonce ppor. M. Gardym.

W drugiej połowie stycznia ubiegłego roku na Bałtyku rozszalał się sztorm. Spiętrzone silnymi wiatrami z zachodu i północy fale przez wiele dni nieustannie biły o brzeg. W rejonie Wybrzeża Gdańskiego poważnie naruszyły w wielu miejscach pas nadmorskich umocnień, a w paru — wtargnęły w głąb lądu. Na Żuławach woda zalała około 4 tysiące hektarów, pokazała się na niektórych ulicach Dolnego Miasta w Gdańsku, a pod Karwią o mało nie doszło do zatopienia niziny Karwieńskie Błota. Szczególnie dramatyczna sytuacja powstała na Półwyspie Helskim. Poważnie ucierpiał port w Helu, a w innych miejscowościach woda wdarła się do piwnic wielu domów. Od strony otwartego morza fale pochłonięły pas plaży o szerokości od kilku do kilkunastu metrów, rozmyły całe odcinki wydmy, dotarły na niżej położone pola lasu, a następnie — pod Kuźnicą — podmyły nasyp toru kolejowego i przez asfaltową drogę zaczęły przelewać się do Zatoki Puckiej. Nad półwyspem zawisła katastrofa. Dzięki szybkiej i sprawniej akcji ratunkowej udało się jednak wreszcie powstrzymać jakoś żywioł. Półwysp pozostał półwyspem, choć kto wie, czy gdyby napór morza był dłuższy i gwałtowniejszy...



Kto w Polsce przynajmniej nie słyszał o Helu? Ze malowniczo, urzekająco, jednym w swoim rodzaju, unikalnym... Szerokie piaszczyste plaże, pachnące sosnowe lasy, orzeźwiające morskie powietrze... Niezapomniane piękno krajobrazu i znane od dawna walory rekreacyjne. Opowiadania znanych i przewodników turystycznych pełne są westchnień i zachwyty. I nie ma w tym chyba wielkiej przesady, choć mówią tylko połowę prawdy o półwyspie. Drugą połowę — tę mniej przyjemną — odsłonił dopiero zimowy sztorm a.d. 1983. Takie przynajmniej można odnieść wrażenie.

Być może gdyby nie ten sztorm, rozwiązanie problemów półwyspu, o których sporo pisze się ostatnio — zwłaszcza na Wybrzeżu — odkładano by z roku na rok jako sprawę do załatwienia w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości. Bo tak u nas często bywa, że póki wrzód nie pęknie, ci, którzy powinni temu zapobiec, udają, że w ogóle żadnego wrzodu nie ma, a jeśli nawet jest, to wcale nie aż tak groźny jak się wydaje. Po co więc „robić wokół tego hałas”, „niepokoić opinię publiczną”, „ścią panikę”?

A przecież chyba wszyscy, którzy dobrze znają lub powinni znać historię i problemy półwyspu, zdawali sobie sprawę, że kiedyś taki sztorm przyjdzie. Już ponad sto lat temu pisał Hieronim Gołębiowski: „Choćby osady półwyspu dość są ubezpieczone przed wodą, to jednakowoż przy nadzwyczajnych burzach zdarza się, że wielkie morze (otwarty Bałtyk — przyp. P.T.) przy bardzo niskich dynach przez półwysp do małego (Zatoka Pucka — przyp. P.T.) się przelewa”. Czy można zatem mówić o zaskoczeniu?

Ale nie to jest najważniejsze. Ubiegłoroczne styczniowe sztormy były bowiem tylko ostrzeżeniem, zapowiedzią czegoś znacznie gorszego niż przełanie się fal przez półwysp, a nawet — odcięcie go od stałego lądu, co dla mieszkańców Helu, Jastarni, Juraty, Kuźnicy i Chałup mogłoby mieć wszelkie znamiona katastrofy.

Mierzeja Helska — wyspa? Jeszcze rok temu sformułowane tak pytanie brzmiałoby niczym fragment literatury science-fiction i wzbudzało raczej wesołość niż skłaniało do przemyśleń. Dziś nikt się już nie śmieje, choć nie wszyscy potrafili do siebie wyobrazić. Tymczasem wystarczy zajrzeć do XVII-wiecznych map, na których w miejscu półwyspu wyraźnie widać kilka niewielkich wysepek oddzielonych od siebie wąskimi przesmykami. Co prawda historycy nie są całkiem zgodni, czy taki stan rzeczy był w przeszłości trwały, czy też półwysp okresowo zamieniał się w pasmo wysepek, na przykład właśnie pod wpływem wyjątkowo gwałtownych sztormów. Ale jak by nie było, nie można wykluczyć, że historia znów się powtórzy. Przecież w najwyższym miejscu Mierzeja Helska ma zaledwie niewiele ponad 200 metrów szerokości.

Co upoważnia do takiego myślenia? Dlaczego właśnie teraz, mimo tak wielkiego rozwoju techniki i wiedzy, nad Półwyspem Helskim krąży widmo nie tylko oderwania go od stałego lądu, ale nawet zupełnego zniszczenia?

Powodów jest co najmniej kilka. Aby je przedstawić, znów należy wrócić do przeszłości, a konkretnie do roku 1936, kiedy to w Wielkiej Wsi (od 1938 roku — Władysławowo) rozpoczęto budowę dużego portu rybackiego. Fakt to z pozoru nieistotny i zupełnie nie związany z ochroną półwyspu, a jednak...

Zdaniem naukowców, Mierzeja Helska została zbudowana przez prądy morskie niosące ze sobą duże ilości piasku wymytego wzdłuż brzegów południowego Bałtyku. Prądy te płynęły z zachodu na wschód i osadzały niesiony materiał u wejścia do Zatoki Gdańskiej. Oczywiście morze raz przynosiło piasek, raz znów go zabierało, jednak bilans był w sumie dodatni! Półwysp Helski stale się powiększał. I oto po wybudowaniu portu we Władysławowie ukształtowanie dna morskiego u nasady półwyspu uległo zmianie, a falochrony okazały się zaporą nie do przebycia dla niesionych przez prąd piasków. Tak więc — skutek działalności człowieka półwysp pozbawiony został naturalnego źródła budulca na uzupełnienie ubytków. W stosunkowo krótkim czasie bilans stał się ujemny i nadal takim pozostanie, jeśli człowiek nie przywróci co najmniej stanu równowagi.

Oczywiście najprostszym rozwiązaniem byłoby zlikwidowanie portu we Władysławowie. Ze zrozumiałych względów jest to jednak niemożliwe. Pozostaje zatem drugi sposób. Należy sztucznie przedłużyć działanie przybrzeżnego prądu, wybierając piassek na zachód od portu we Władysławowie, gdzie się teraz osadza, stale spychając wejście do portu, po czym przerzucić go kilka kilometrów na wschód, a dalej morze samo już rozprzeczadzi go wzdłuż mierzei.

W Wydziale Ochrony Wybrzeża Urzędu Morskiego w Gdyni ocenia się, że aby zapobiec rozmywaniu półwyspu, należałoby wysypać u jego brzegów natychmiast co najmniej milion metrów sześciennych piasku, po czym co roku uzupełniać ubytki 200-300 tysiącami metrów sześciennych. Należałoby... ale... Na razie Urząd Morski nie dysponuje odpowiednimi urządzeniami do tego celu. Jest to też przedsięwzięcie niezwykle kosztowne, gdyż koszt przerzucenia jednego metra sześciennego piasku wynosi 200 złotych. Powstały też kontrowersje wokół projektu budowy stałego rurociągu, którym dostarczany byłby piasek.

Póki co odbudowano więc tylko zniszczone przez wodę wały wydmy, a pod Kuźnicą, gdzie morze zastakowało najdotkliwiej, usypano stosunkowo wysoki wał ochronny długości około półtora kilometra. Ciekawostką jest to, że zamiast drogiej faszyzny wykorzystano przy jego wznoszeniu materac z powiązanych ze sobą zużytych opon, który obciążono kamieniami, zasypując żwirtem, gliną i piaskiem. Nadal trwają dalsze prace zabezpieczające...

Nie jest to mało. Urząd Morski wykonał dużą pracę, ale do ostatecznego rozwiązania problemu ochrony Półwyspu Helskiego przed atakami morza jest jeszcze bardzo daleko. I co roku będzie coraz dalej.



Burliwe są dzieje tego skrawka lądu wrzynającego się na 35 kilometrów w morze. Już ponad 2 tysiące lat temu osiedlili się na nim pierwsi ludzie. Zajmowali się głównie rybołówstwem, co z czasem musiało przynosić im duże dochody, skoro

„Krowi Ogon” ze znakiem zapytania

PAWEŁ TOMASZEWSKI

w XIV-wiecznych zapiskach mówi się o Helu, jako ważnym i bogatym mieście. Znajdował się w nim port, domy rybaków, a także szpital, łaznia, karczmy, ciemnica oraz ratusz. Na wież, którego tkwił już mechaniczny zegar — niewątpliwie jeden z pierwszych na Wybrzeżu Gdańskim. Strategiczne położenie miasta i całego półwyspu (czy też zespołu wysp) sprawiło, że przechodził on z rąk do rąk, raz znajdując się pod panowaniem króla polskiego, raz — wielkiego mistrza Zakonu Krzyżackiego, to znów będąc posiadłością gdańskiego mieszczaństwa. W roku 1814 Półwysp Helski włączony został w skład państwa pruskiego, a samo miasto Hel uubożało i wyludniało się, tracąc w roku 1872 prawa miejskie.

Początek ubiegłego stulecia to odkrycie Półwyspu Helskiego jako celu wycieczek krajoznawczych i miejsca dla letniego wypoczynku. Przyczyniły się do tego między innymi pierwsze rejsy statków parowych z Gdańska do Helu pod koniec lat 20 XIX wieku. Ale musiało upłynąć jeszcze 60 lat zanim Hel otrzymał



Foto: M. Zajdlar

stałe połączenie z Gdańskiem i Sopotem, zorganizowane i prowadzone przez gdańskie Towarzystwo Żeglugi Parowej, które wkrótce wybudowało też w Helu dom zdrojowy. I tak oto obok rybołówstwa drugim źródłem dochodów miejscowej ludności — wówczas mniej więcej pół na pół: kaszubskiej i niemieckiej — stała się turystyka.

W roku 1920 Półwysp Helski wchodził w skład odrodzonego państwa polskiego i z roku na rok stał się coraz popularniejszym ośrodkiem letniskowym. Setki ludzi spędza wakacje w Jastarni, Juracie czy Chałupach, tysiące — odwiedza Hel. By sprostać napływowi turystów i poprawić warunki życia mieszkańców półwyspu, w 1922 roku zbudowana została linia kolejowa łącząca Hel z Gdańskiem. Proponuje się również wytyczenie szosy, ale — już wtedy! — odzywają się głosy, że wpuszczenie samochodów na mierzeję mogłoby mieć zgubny wpływ na środowisko naturalne. Projekt ten realizowany zostaje dopiero w roku 1960 i jest początkiem prawdziwej inwazji turystów i wczasowiczów, którzy obok morza stanowią drugie źródło zagrożenia dla półwyspu.

I to też — można odnieść wrażenie — uświadomił dopiero w pełni lokalnym władzom ubiegłoroczny styczniowy sztorm. Nie znaczy to, rzecz jasna, iż wcześniej nikt o tym nie wiedział. W 1978 roku na mocy uchwały Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku utworzony zostaje Nadmorski Park Krajoobrazowy, obejmujący swym zasięgiem ponad 144 kilometry kwadratowe lądu i wód Zatoki Puckiej, w tym — cały Półwysp Helski. Jego zadaniem jest ochrona środowiska, a także koordynacja wszelkich działań na rzecz racjonalnej gospodarki na tym terenie. Nie zmienia to jednak faktu, że dopiero tego lata zdecydowano się na pewne ograniczenia w ruchu kołowym na półwyspie.

Od 15 czerwca do 15 września ub. roku swobodnie można było dojechać samochodem tylko do Władysławowa, gdyż tuż za miastem na helskiej drodze pojawiła się rogatka ze szlabanem. Przepuszczano przez nią jedynie tyle pojazdów, ile może zmieścić się na parkingach półwyspu, przy czym każdy z wjeżdżających zobowiązany był poinformować, gdzie i na jak długo zamierza się zatrzymać. Oczywiście ludzie, jak to ludzie, robili co mogli, by ominąć przepisy i dostać się na przykład na zatłoczony parking w pobliżu zwyczajowej plaży turystów i pooglądać sobie nągusów, mówiąc, iż udają się zupełnie gdzie indziej. Byli też kierowcy-analfabeci, niezdolni przeczytać napisów na tablicach zabraniających parkowania w lesie, czy wjazdu na plażę. Trudno więc powiedzieć, że samo ustawienie rogatki rozwiązało problem. Faktem jest jednak, że był to pierwszy widoczny dla wszystkich znak, iż gospodarze półwyspu zdecydowali się wreszcie na uporządkowanie ruchu turystycznego.

Tu kilka słów wyjaśnienia. Otóż owych gospodarzy jest, wcale nie mało: urzędy miejskie w Helu, Jastarni i Władysławowie, Nadleśnictwo Wejherowo, dyrekcja Nadmorskiego Parku Krajoobrazowego, Urząd Morski, miejscowy garnizon Wojska Polskiego. Poza wymienionymi głos chcą też mieć Polskie Koleje Państwowe i Rejon Dróg Publicznych. Każdy naturalnie ma swoje racje, gdyż tak rozdzielone są kompetencje, tylko że — „gdzie kucharz śnieć”.

Krótko mówiąc, na Helu nadal panuje bałagan: dosłowny, co zaważdzamy turystom i wczasowiczom, a także po części miejscowej ludności, oraz — organizacyjny, jako że wszyscy chcą współdecydować, ale nikt nie chce (i na razie nie może) wziąć pełnej odpowiedzialności za to, co dzieje się na półwyspie.

I taki stan rzeczy trwa już od wielu, wielu lat. Każdy ze współgospodarzy deklaruje gotowość współdziałania w dziele zaprowadzenia porządku i chronienia Mierzei Helskiej przed dewastacją i zniszczeniem, ale w praktyce na ogół górę biorą partykularne interesy poszczególnych instytucji, co tu dużo mówić — często ze sobą sprzeczne, niekiedy — wydaje się — nie do pogodzenia.

Instytucje zajmujące się organizacją ruchu turystycznego chciałyby mieć względną swobodę działania, by jak najwięcej zarobić. Wczasowicze nie lubią ograniczeń i zakazów, zwłaszcza, że pobyt na Helu coraz więcej ich kosztuje, więc chcą wiedzieć za co placą. Nadleśnictwo i strażnicy Nadmorskiego Parku Krajoobrazowego oczekują, a kolei większego zdyscyplinowania od ludzi odwiedzających półwysp. Stali mieszkańcy nie zawsze chcą zrozumieć, że w specyficznych warunkach Mierzei Helskiej nie można budować wszędzie, gdzie się chce i wszystkiego, co się tylko zamarzy. I tak dalej, i tak dalej.

Dodatkowych trudności przysparza szereg od dawna nabrzmiałych i ciągle nie rozwiązanych problemów. Jak bowiem oczekiwać lepszej ochrony środowiska naturalnego, skoro na przykład nie ma na półwyspie ani jednej komunalnej oczyszczalni ścieków? Jak wymagać od wczasowiczów, by nie chodzili po lesie i wydymach, jeżeli brak odpowiedniej ilości ogólnodostępnych urządzeń i instalacji sanitarnych? Jak?

I znów nie sposób pominąć milczeniem, że o tym wszystkim się myśli, że są opracowane odpowiednie plany i programy, wydane stosowne przepisy. Cóż jednak z tego, skoro brakuje funduszy, etatów, „mocy przerobowych”, konsekwencji w działaniu. Pozostają pół- i ćwierćśrodki, apelowanie do dobrej woli, zrozumienia, powoływanie się na wyższą wartość...

A czas ucieka...



28 września 1983 roku. Jadę opustoszałą drogą z Władysławowa na Hel. Przy wjeździe na półwysp, — mały, murowany domek. To właśnie w tym miejscu ustawiono latem szlaban. Kartę wjazdu wydawali zatrudnieni sezonowo studenci. Mieszkańcy w namiotach. W przyszłym roku ci, co ich zastąpią, dostaną do dyspozycji ów właśnie domek. Obliczono już, że na półwyspie nie powinno znajdować się jednocześnie więcej niż tysiąc samochodów. Za prawo minięcia szlabanu trzeba też będzie zapłacić — prawdopodobnie 100 złotych od osobowego, zaś 300 od ciężarowego samochodu. Ostateczna decyzja co do wysokości opłat jeszcze nie zapadła.

Po prawej stronie drogi widać Zatokę Pucką — niegdyś siedlisko wielu gatunków ryb. Jeszcze są, jeszcze miejscowi rybacy zastawiają sieci na węgorza, ale to już nie to. Od kilku lat wody zatoki umierają. Czy sytuacja ulegnie poprawie, gdy skończy się budować wspólna dla Pucka i Władysławowa oczyszczalnia ścieków w Swarzewie? Czy nie można było pomyśleć o tym wcześniej?

Wzdłuż brzegu — parkingi, pola namiotowe. Głucha cisza, spokój. Półwysp odpoczywa po letnim najeździe. Teoretycznie z jego plaż może korzystać 200 tysięcy osób. Praktycznie — znacznie mniej, bo nie ma tu tylu łódek, miejsc w restauracjach, na campingach... I chyba to dobrze. Z przerażeniem myślę, co by się działo, gdyby te 200 tysięcy ludzi wyległo na plażę, a potem, wieczorem... Czy byłoby to jeszcze wypoczynkiem?

Senne uliczki Jastarni, pozamykane na kłódkę lokale, kioski z pamiętkami, obok których stoi jeszcze kilka miejsc, gdzie sprzedają smażoną rybę, placków ziemniaczanych, frytek i gofrów. Kiedyś była to stylowa rybacka wioska. Dziś — architektoniczny kicz! I tylko patrzeć, jak ktoś wpadnie na pomysł budowania tu wieżowca z wielkiej płyty. Obserwując to, co już stoi, myślę, że wszystko jest możliwe.

Niedaleko Kuźnicy widoczne ciągle ślady styczniowego sztormu. Pod torami kolejowymi leżą jeszcze worki z piaskiem. To właśnie tutaj wielkie morze przeleżało się do „małego”. Tu chciało przeciąć „Krowi Ogon” — jak czasem nazywają jeszcze Kaszubski Półwysp Helski.

Od strony otwartego Bałtyku ciągnie się usypany pośpiesznie wał ochronny — nagi i surowy, pomarszczony niczym szew na gojącej się ranie. Takich „szwów” jest na półwyspie więcej. Stary rybak mówi:

— Panie, to wszystko diabła warte. To jest nic. Jak zima znowu przyjdą takie wiatry, morze i tak zabierze, co swoje.

Teoretycznie wszystko jest. Praktycznie — teatr in spe — wyłania się pomalunko z remontowego panelu. Z tym remontem była cała historia. Według polskiego wynalazcy „ja nie wiem, ja tu sprzątam”. Najpierw musiał być papierki z pieczętkami. Potem należało zgromadzić materiały, wrzucić — całkiem dosłownie — na scenę wszelki rzemiosło różnych. Przeważnie — artyści murarzy i stolarzy, artyści hydraulicy, instalatorzy, mówiące pomagierów oraz spory hufiec kierowników. I tzw. „front” ruszył.

Tylko robota stała. Pieniądzy było, robić z czego było, nawet — parcie — moce były i... powstało arcydzieło sztuki remontowej. Po rozgrzebaniu frontu okazało się, że nie ma harmonogramu robót i dostawy potrzebnych materiałów, że kompetencje albo się rozmywały, albo zachodziły na siebie. Zdaniem znakomitych fachowców — teatr powinien się składać ze sceny oraz widowni. Pozostałe duperele, jak: kasa, zaplecze techniczne sceny, reżyserka, garderoby i warsztaty — są wymysłem rozpaskudzonych artystów.

Jak dobrze pójdzie, niedługo minie pięć lat, odkąd niestrużeni realizatorzy remontu otrzumują najserdeczniejszą powinszowania zdrowia, wszelkiej pomyślności oraz nieustającego zapachu do pracy.

Najwęższe jest jednak to, że nawet nie ma na kim psów powiesić. Nie ma winnych! Nikt nie był przeciw, nikt nie brzdącił i nie szkodził. Wszyscy chcieli jak najlepiej, doceniali przecież znaczenie, panie tego, kultury. Ot, zwyczajnie, samo się tak jakoby porobiło... A bo to pierwszy raz się zdarzyło, że przeszkadzających brak, a sprawa się rypie!

I pewnie by się rypła do reszty.

GDYBY NIE DWÓCH TAKICH.

co ukradli... święty spokój rozmaitym urzędnikom. A to jest świętokradztwo! Bo jeśli o sprawie się nie mówi — to znaczy, że sprawy nie ma. I kropka.

No i tych dwóch naruszyło spokój godnego urzędnika, zlekceważyło obywatela Parkinsona i ruszyło do boju o pojedynczy owoc cytrusowy.

W Łodzi tak zawsze. Jeśli potrzebujesz znaleźć jakąś instytucję, szukaj jej w miejscu najmniej spodziewanym.

Zadane tam marmurowe schody na pryncypalnym placu miasta.

Przy Zachodniej ulicy jest stara czynszówka, paskudna brama, labirynt oficyn i przybudówek. Wchodzić — nie wiesz, czy trafisz do prywatnego lokalu z wyszynkiem, gdzie pisarza Metowa podjeżdża linetka i meżura (dwie setki wódki plus galaretki z nożek).

Tymczasem — nie własnici! Była jaka brama okazuje się być wniścieniem w świat Muz, głównie zaś Melpomeny.

W bramie, na ścianie, rdzewiejąca tabliczka: Studencki Teatr „CYTRYNA” Akademii Medycznej w Łodzi. Aktualni studenci nie mają cytrynowego pojęcia, ale starsi weselą się z rzewnością.

Były czas! „CYTRYNA” liczyła się między najpierwszymi scenami studentekimi. Jednym z nich wymieniali się ja obok „BIM-BOMU”, „Płwicy pod Baranami”, „HYBRID” — nie wspominając o łódzkiej konkurencji — „Pstragu”. Nazwiska Leszka Armata, Ryszarda Klimackiego, Tomasza Perłowskiego, Jana Kwapińskiego i tyle innych, dla niedyskretnych studentów łódzkiej uczelni wiele znaczący. Były sukcesy ogólnopolskie i zagraniczne, wojące po festiwalach i nagrody. Stary cytryniarze pamiętają wyprawę na Festiwal Teatrów Studentekich do Lublan, czy na Festiwal Kultury Młodzieży Medycznej w Montpellier. Od pierwszego, 1954 roku, przewinęło się przez „Cytrynę” dziesiątki młodych ludzi, którym się chciało nie patrzeć tylko pod nogi. Dziś — byli cytryniarze, to męskie uczelnie, kontraktarze szanowane, porośnięte dziełami i codziennymi kłopotami.

Został plecak z tradycją i starymi programami teatralnymi i rozbebeszona siedziba.

Z niewielkiego hałtu widać rozmiętą szatnię, Gruz, cegły, jakieś dechy i komplet zakurzonych wieszaków. Obok — sanitariat (rury ciekne) i wejście do reżyserki (konsola w magazynie). Duża widownia in statu nascendi, także scena.

Na zapleczu — słaby jeszcze zarys przyszłych warsztatów, garderób. Ale powierzchnia, że daj boże wszystkim teatrom.

W przyszłości, jeśli nie nastąpi trzęsienie ziemi, „Cytryna” będzie kluczem do innych teatrów... nawet już klucze, bo wyległy się pomysły odcabiania „Cytryny” lokalu, jako że nieświeża, a w ogóle dawno i nieprawda, nieważne. Ważne, że w piwnicach jest mnóstwo miejsca na sale prób, na przytulny klub z kawką i bezwarcabów. Jest też spora sala dla bardziej kameralnych form teatralnych i nie tylko.

— Panowie, będzie coś z tego? — moi cicerone, dwaj ministrowie „Cytryny” — Andrzej Jerzy Kowalski i Roman Kowal, przysięgają, że będzie.

JOLANTA WROŃSKA

Deficytowy owoc cytrusowy

— Odkąd zdenerwowaliśmy się tym wiecznym remontem, jakby się ruszyło. Od wiosny 83 r. mamy wszystkie potrzebne materiały, tylko wykonawcy zmieniali się jak rękawiczki. W końcu pomogli nam rektor AM, prof. Leszek Wozniak. Ogłoszono przetarg na wykonanie remontu i znalazł się niezwykły obywatel, właściciel prywatnego przedsiębiorstwa remontowo-budowlanego. Nie dość, że fachowiec, to jeszcze najwyraźniej sprawia mu frajdę robienie teatru. Można coś takiego wisi w zapachu „Cytryny”, że robotnicy ciągną swoją robotę, aż miło patrzeć. Sześć osób sam się stara, dogląda, śledzi potrzebne materiały. Jest nadzieja, że z końcem lutego zakończymy najbrudniejszą robotę. Będzie można wejść do teatru z koncepcją urzędnika i wyposażenia wnętrza. Poza tym nareszcie będzie można rozpocząć normalne próby z zespołem... bo mimo braku siedziby, zapach „Cytryny” śledzi nowych, młodych następców starych cytryniarzy. Jest nas już blisko trzydziścioro i mamy nadzieję, że nas przybędzie do pieczenia chleba.

Równoległe z remontem — odbudowujemy repertuar. Chcemy wejść do gotowej „Cytryny” z gotowymi propozycjami dla widzów. Póki co szwendamy się gościnnie po różnych salach.

Wiosną zeszłego roku, zaczęliśmy próby ze sztuką nieżyjącego już lekarza i pisarza Adama Abdańskiego, „Konsylium”.

Jednak i my, i zebrany wówczas zespół musieliśmy zrezygnować. Potem daliśmy wyraz poetycki w sali „Synapsy” opracowany przez Annę Hertzmanowską, a 17 grudnia 83 r. w auli Akademii Medycznej daliśmy pierwszą prawdziwą premierę teatralną zmartwychwstałej „Cytryny”. Nasza koleżanka, Zofia Dramińska, jak i my, studentka medycyny, napisała sztukę „Pielgrzymi”. To jest rzecz o tym, mówiącej najkrócej — że milczeć się zawsze zdąży. Że nie wolno odwracać się plecami do świata, tym bardziej wówczas, gdy jego kształt uwiiera nas w sumienie.

Wypadałoby też „obejść” przypadający jesienią tego roku jubileusz 30 lecia „Cytryny”, ale... najpiękniejszym prezentem dla nas i dla publiczności będzie gotowa siedziba teatru...

Chcemy pojechać do Krakowa na Reminiscentje Teatralne w marcu. Zabieramy „Pielgrzymów” i kabaret literacki.

Wypadałoby też „obejść” przypadający jesienią tego roku jubileusz 30 lecia „Cytryny”, ale... najpiękniejszym prezentem dla nas i dla publiczności będzie gotowa siedziba teatru...

Chcemy pojechać do Krakowa na Reminiscentje Teatralne w marcu. Zabieramy „Pielgrzymów” i kabaret literacki.

Wypadałoby też „obejść” przypadający jesienią tego roku jubileusz 30 lecia „Cytryny”, ale... najpiękniejszym prezentem dla nas i dla publiczności będzie gotowa siedziba teatru...

Chcemy pojechać do Krakowa na Reminiscentje Teatralne w marcu. Zabieramy „Pielgrzymów” i kabaret literacki.

Wypadałoby też „obejść” przypadający jesienią tego roku jubileusz 30 lecia „Cytryny”, ale... najpiękniejszym prezentem dla nas i dla publiczności będzie gotowa siedziba teatru...

Chcemy pojechać do Krakowa na Reminiscentje Teatralne w marcu. Zabieramy „Pielgrzymów” i kabaret literacki.

— Nawet sami robimy trochę szumu — mówi Andrzej Jerzy Kowalski — dobiłamy się o miejsce, chcemy, żeby o nas usłyszeli. Jakis czas temu, do naszej rozgrzebanej siedziby, zawitała sama telewizja. Ale kiedy zakomunikowałem do kamery, że „Cytryna” jest jednym z najsłynniejszych teatrów studentekich w Łodzi i w Polsce, to ten program nie ukazał się na antenie... jasna sprawa, że szef dziennika telewizyjnego w łódzkiej TV, red. Nieśmialek, to człowiek „Pstraga”. To i ścierpieć nie mógł samochwalstwa konkurentów. Zresztą — żarty na bok — „Cytryna” nie jest żadną konkurencją dla „Pstraga”. Po prostu każdy z teatrów ma inny profil artystyczny i w drodze sobie wchodzić nie będziemy. Poza tym, nasza działalność popularyzująca „Cytrynę” nie jest jedynie merkantylną reklamą firmy.

Jest propozycja o znacznie szerszym założeniu. Pragniemy stworzyć załączek przyszłego centrum kulturalnego dla stu-

próg, od którego się tworzy, jest pociągana za sobą innych, bez jednoczesnej groźby spowodowania rozłamów w zespole, klótni i tworzenia się obozów walczących o swe koncepcje. Przy tak szerokiej uświadomości kierownika i istnienie jednak groźba zaprowadzenia wiernopoddanego posłuszeństwa, co nie ma już nic wspólnego z autentyczną pasją pracy całego zespołu.

Dłatego statut teatru zawiera mechanizm kontroli. Na wniosek 80 proc. członków zespołu rektor Akademii Medycznej może odwołać kierownika z jego funkcji. Nie jest to ostrze wymierzone przeciw osobie, lecz przeciw programowi narzuconemu i wymuszalnemu bez aprobaty tych, którzy mieliby go realizować. Myślę jednak, że żadna forma twórczości artystycznej nie będzie mogła być realizowana i nie spełni się w odbiorze społecznym, jeśli zabraknie tych wielkich, ideotwórczych indywidualności. W tym widzę

jedną z przyczyn upadku tego, co szalenie umownie nazywamy kulturą studentką. Nie jedyną, bowiem — jak sądzę — ma też swoje znaczenie zmora punktów za pochodzenie. Na uczelniach stale obniża się poziom intelektualny studentów selekcjonowanych wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych, hermetycznych kręgów towarzyskich, nie skłonnych do wychodzenia na zewnątrz ze swą działalnością. Z drugiej zaś strony działa wzajemny hamulec pretensji i uprzedzeń w przenikaniu się różnych środowisk — pracujące selekcjonowane wg rodowodu. Obserwuje się, rozbicie środowiska, a przede wszystkim tworzenie się elitarnych

Nie potrafię myśleć o Hannie Bedryńskiej jako o seniorce. Ktoś mógłby powiedzieć, że to jest jak o dostojnej jubilatce. Zawsze objawia mi się jako uosobienie czaru i teatralnego wdzięku. Z jej ukazaniem się na scenie robi się jasniej i cieplej. I tak było jak sięgnąć pamięcią, że wspomnę niektóre tylko z kilkudziesięciu postaci, w które wcieliła się z taką łatwością, a które wyrażnie zakodowały mi się w pamięci. Ergo poczynając od niezapomnianej, fascynującej Doni Marii w „Dziwczyni z dżbanem” Lope de Vegi (1953, reż. Kordowicz), 171 przedstawień: Joanna w „Nocy listopadowej” Gertruda w „Hamlecie”, Masza w „Trzech siostrach”, Helena w „Zabusi”, Lizzie w „Ladacznicy z zasadami”, George Sand w „Lecie w Nohant”, Laura w „Ojcu”, dwukrotnie Podstolina w „Zemście” (w reżyserii Zatorskiego i Dejmkę), Pani Orgonowa w „Damach i huzarach”. Wszystkie enumerowane role zrealizowała Bedryńska w Teatrze Nowym, z którym związana była (i jest) przez mniej więcej trzydzieści lat. Trzydzieści — z trzydziestu pięciu, jakie złożyły się na jej zasłużony jubileusz aktorski.

Uwagi te stanowią jedynie wstęp do recenzji z jubileuszowej premiery Bedryńskiej. Dlatego nie rozpisuję się na temat przeszłości, pragnę przywołać jeden tylko przykład, świadczący o wybitnym talencie aktorskim. Również dwadzieścia lat temu wystąpiła Bedryńska na Małej Sali w monodramie André Gide’a „Piotr i ja...”. Tekst raczej średni o zabarwieniu sensacyjnym. Bedryńska potrafiła jednak tożnąć weń tyle autentyzmu i prawdy życiowej, że półtoragodzinną samą z sobą publicznością zamieniała w prawdziwy koncert sztuki aktorskiej.

Hanna Bedryńska zdołała sobie zaskarbić wielką popularność i sympatię u mieszkańców naszego miasta. Datuje się ona szczególnie od wymienionej wyżej roli w „Dziwczyni z dżbanem”. Nic dziwnego, że na premierze jubileuszowej gorące oklaski powitały aktorkę już w momencie wejścia na scenę, a powtarzały się wielokrotnie po zakończeniu przedstawienia. W ten sposób teatromani łódzcy dziękowali aktorce

za jej wieloletni trud i zapewniali ją, że uznają ją nie tylko za przeszłość, ale i za teraźniejszość.

Wybór sztuki na jubileusz aktorski to zadanie niełatwe. Musi ona zawierać rolę, która uwypukliłaby najpełniej obecne możliwości i umiejętności jubilatki. W danym przypadku jubilatki. Musi to być zatem rola prowadząca, a w każdym bądź razie eksponowana, by prezentacja wypadła jak najwspanialej. Zarzykują twierdzenie, że nie najlepiej służą temu celowi sztuki widowiskowe, eksperymentalne, silnie kontrawersyjne w niesionej treści. Wówczas bowiem inscenizacja lub problematyka sztuki mogłaby wysunąć się na plan pierwszy przed wykonawstwo. Uważam, że wybór „Profesji pani Warren” G. B. Shaw’a był z tego punktu widzenia — jak najbardziej słuszny. Wielki (jak się zwykło mawiać) Kpiarz napisał ją w 1894 roku, wystawiona została po raz pierwszy dopiero w 1902 roku, a i potem miała przez wiele lat kłopoty cenzuralne. Prapremiera polska odbyła się w 1904 roku.

Na przełomie wieków, w okresie walki z moralnością mieszczańską i pruderią, była „Profesja pani Warren” sztuką świadomie prowokującą, zaciekle atakującą sztafeta zafowania obyczajowego. Dziś jako osiemdziesięcioletnia starszuszka straciła już zęby, skłasytowała się, zeszała do funkcji niemal muzealnej. Trudno więc liczyć, by tekst Shaw’a gorzył kogośkolwiek, czy rozbudzał ożywione dyskusje. Oglądamy sztukę raczej z pewnym rozbawieniem, nie nas w niej nie szokuje, ani nie angażuje emocjonalnie. Czy to źle? Nie. Możemy w pełni smakować wartki, dowcipny dialog i syć oczu grą aktorską, pod warunkiem że dobrej marki. Przedstawienie, jakie oglądamy na Małej Sali, odznacza się właśnie dobrym wykonawstwem, w czym nie mała zasługa odtwórczyni roli tytułowej, czyli naszej jubilatki.

Cechy, jakimś obdarował autor panią Warren, czynią z niej osobę raczej przewrotną. Nie jest ona ani tak dobra, jak się na pozór mogłoby wydawać, ani tak zła, jak można by podejrzewać. Najbardziej pozytywny komponent tej postaci — miłość do córki — nie jest bynajmniej jednoznaczny. Ie

Hanna Bedryńska i „Profesja pani Warren”

w niej egoizmu, schlebienia własnej zarozumiałości, a ile szczerzego uczucia, trudno do końca ocenić. Wprawdzie przy końcu pierwszej części przedstawienia wypowiada pani

Warren gorącą mowę obronczą samej siebie, ale czyż podobnie wzruszających bajeczek nie ma na podorędziu każda kobieta, która zeszała z tak zwanego drogi cnoty?



Foto: Andrzej Brustman

Ponadto pani Warren, choć nie unikała wesołego życia, nie kupowała przecież sobie, lecz czerpała profit z płatnej miłości uzależnionych od siebie dziewcząt. A to budzi w nas szczególnie mało zrozumienia, nie mówiąc już o sympatii.

G. B. S. przeprowadzając zgodzie ze swymi przekonaniami, powiedzmy sobie, dość umiarkowaną krytykę moralnego oblicza kapitalizmu, każe swej bohaterce zająć się profesją najbardziej chyba odrażającą. Co więcej, pani Warren wydała się zasmakować własnie w tym sposobie na robienie majątku, co czyni ją dodatkowo nieczystą wewnętrznym.

Czy zatem na tym tle przekonywający jest jej białowłochy stosunek do jednynaczki i pragnienie, by wyrosła ona na wykształconą i ze wszech miar porządną kobietę? Łatwo możemy dojść do wniosku, że stosunek matki do córki jest dość konwencjonalny, mieszczański w zamiarze bycia wobec świata damą.

Tak scharakteryzowana osobowość pani Warren składa się na obraz raczej negatywny. O wiele trudniej znaleźć pozytywne rysy. I właśnie Bedryńska skupia się w swej interpretacji na tych anemicznych i słabo uwierzytelionych w tekście dodatkach strona bohaterki. Stawia sobie zatem niełatwe, ale zgodne z własnymi dyspozycjami aktorskimi.

Pani Warren Bedryńskiej przy wszystkich swoich wadach da się lubić. Jest osobą miłą w objęciu, uroklivą w stosunku do otoczenia, z gruntu dobrą, choć lekkomyślną. Nie przeprowadzając zatem generalnej obrony tej postaci, gdyż byłoby to w sprzeczności z założeniami autora, potrafiła aktorka uczłowieczyć ją, wyposażyć w motywacje, które budzą raczej rozbawienie i wyrozumiałość niż potępienie.

Nie oznacza to, że Bedryńska domaga się akceptacji pani Warren, albo że chce ją na siłę wybielić. W grze swojej nie gubi cieniów obok światła, odświeżając moralną ambiwalencję tej damy i wszelki brak samokrytycyzmu. Usprawiedliwienie bohaterki szuka w tym, co jest w bohaterce po kobiecemu głupiotwie, a tym samym nadaje jej ludzki wymiar.

Świadomość dwójności postaci każe wykonawczyni trzy-

mać na wodzy te środki aktorskie, które służą swoistej obronie pani Warren. W efekcie otrzymujemy konterfekt jasny, pastelowy, ale odświeżający chwila cienne barwy półświatła, do którego przecież pani Warren wbrew pozorom oglądzie należy.

Bardzo udana rola Hanny Bedryńskiej, odciskająca się dyskretnym piętnem na całości przedstawienia i nadająca mu kierunek.

Obok wkładu jubilatki na sukces przedstawienia złożyła się sprawną, choć zgodną z charakterem sztuki „niewidoczna” reżyseria Wojciecha Piłarskiego i wyrównana gra całego zespołu wykonawców.

Z przyjemnością odnotowuję, że młodzi aktorzy dorównują doświadczeniu starszych. Krytyka Tołewska konsekwentnie przekonywająco radzi sobie z rolą Wiwili, która to postać — przynajmniej — nie całkiem się autorowi udało. Młoda aktorka zwycięsko omija rafa doktrynizmu i werbalizmu, wydobywając na wierzch to co ma życiowe uzasadnienie. Może tylko zbyt skąpo manifestuje swe uczucie dla Franka w drugiej części przedstawienia.

Mirosław Siedler, w roli Franka, głównego nosiciela autorskich paradoksów i przekory, ma zadanie niewspółmiernie wdzięczniejsze. Wywiązuje się z niego dobrze, z odpowiednią dozą charmu.

Z łagodnym dystansem wobec wydarzeń i ludzkich słabości ujmuje rolę architekta Praeda Bogusław Mach. Można by natomiast podyskutować, czy Stanisławowi Olczykowskiemu najlepiej leży rola zaigranego barona Croftsa. Jako Pastor Wojciech Piłarski tworzy postać nadętego i nie najmądrzejszego bufona.

Dobrze służąca charakterowi sztuki oprawa plastyczna przedstawienia przygotowała Iwona Zaborowska, która jako scenograf wierny Teatrowi Nowemu ma także swój poważny wkład w dzieło tej sceny.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Literatura emigracyjna eseje i trzy powieści

Bestsellery miesiąca

„Zanim powstanie panorama”, a w nawiasie „wobec literatury polskiej na emigracji” — tak zatytułował swoją ostatnią książkę Zygmunt Lichniak (PAX, nakład 20 tys., cena 120 zł.), która jeszcze kilkanaście miesięcy temu mogłaby być uznana za kulturalny ewenement. Dziś gotowi jesteśmy ją przyjąć za fakt niemal zwyczajny, potwierdzający w oczywisty sposób jedną z dyrektyw obecnej polityki kulturalnej. Dyrektywa ta niegdyś postulowana, teraz przybrała realny kształt: literatura polska jest jedna, bez względu na miejsce swojego powstania. Pisałem już na tych łamach o krakowskiej „Historii literatury polskiej w zarysie”, w której kończący rozdział Mariana Stepińska prezentował w syntetycznym skrócie obraz naszej literatury po roku 1945 w jej krajowych i emigracyjnych realizacjach. A był to jeden z przykładów, Staranisa wydawców, krytyków i edytorów przywrócić krajowemu czytelnikowi (napisaliśmy ostrych: przywrócić) twórczość Wierzyńskiego i Lechońskiego, Miłosza i Wittlina, Czernowskiego i Bałłuckiego. To tylko niektóre nazwiska. Inne (wiele ich jeszcze) oczekują dopiero na rewindykacyjne zabiegi.

Książka Lichniaka z założenia ma przerzucić most pomiędzy „tą” i „tamtą” literaturą (z takich inżyniersko-konstrukcyjnych pomysłów zrodził się tekst Alicji Lisieckiej, drukowany ostatnio w „Życiu Literackim”). Subtelna to robota, może zatem dlatego tyle w tej książce stylistycznych zawiązków i dyplomatycznych ostrych. Lichniak, jak tylko może, broni się przed przyklepaniem w emigracyjnych kapliczkach — jak sądzę jednak — nie zawsze skutecznie. Co jasne przecież — plecie „literatura emigracyjna” — nie może przytępić ostrości krytycznego spojrzenia. Nie wszystko co „tam” powstało jest literaturą. Wprost przeciwnie. Można zakładać — argumentując choćby spojrzeniem redaktora (Tymona Terleckiego) i autorów dwu opasłych tomów (w sumie około 1400 stron) „Literatury polskiej na obczyźnie”, wydanych w Londynie w roku 1965 — że tylko po części, opublikowane na emigracji książki, bronią się swoimi artystycznymi walorami. Gdyby tylko o takie walory chodziło! Zacytujmy tu za Lichniakiem słowa Wittlina: „Zjedźmy na ziemię, gdzie emigracja polityczna jest przede wszystkim nieszczęśliwością. Kto z tego nieszczęśliwością stworzył sobie religię, nie będzie zbawiony. I daleki od chwały jest ten, kto nie potrafił tego nieszczęśliwość przezwyciężyć, lecz uważa je za normalną formę bytu, poza którą jest już tylko niebyt”.

I jeszcze dwa cytaty: „Charakterystyczna jednak wydaje mi się ta skłonność — pisać Lichniak — ku krótkości: jedną od razu chcą ocalać wszystkich i prawie wszystkim dziełom przypisywać rangę niemal wybitną, inni — od razu redukowując sprawę do kilku zalet i nazwisk i zjawisk. Ani jeden, ani drugi nie dają dobrego przykładu moralnego obcowania z literaturą polską na emigracji”. I dodaje: „Wszystkiego na pewno nie wydajmy, bo to i nierealne, i niepotrzebne, i niesłuszne. Wszystkich także nie zadowolimy i nie pogodzimy, bo to również i nierealne, i niepotrzebne, i niesłuszne”.

Książka Zygmunta Lichniaka poza swoimi walorami publicystycznymi zawiera niebagatelną ilość historycznoliterackich informacji, bibliograficznych przypisów i not. Rzeczywiście zatem „zanim powstanie panorama” tekst ten może pełnić wcale istotną rolę poznawczą.

Na emigracji kontynuowała swoją twórczość poetka Beata Obertyńska, której tom „Wierszy wybranych” mogliśmy w styczniu znaleźć w księgarniach (PIW, 10 tys. egz., cena 80 zł.). Córka Maryli Wojskiej, wybitnej poetki Młodej Polski, debiutowała w roku 1924. Przed wojną wydała w kraju cztery tomiki: „Pszczółki w słoneczniku”, „O Braciach Mroźnych”, „Głóg przydrożny” i „Klonowe motyle”, a Zawodźniaki, podsumowując te twórczość, napisał: „żeby nie było Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej Beata Obertyńska zajęłaby jej miejsce”. Nader pochlebia to opinia, ale i nieco dwuznaczna. Andrzej Z. Makowiecki, autor biograficzno-interpretacyjnego wstępu do PIW-owskiego wyboru pisze wprawdzie, że wojna, rosyjskie losy, służba w armii Andersa, a potem pobyt na emigracji nie odmieniają kanonu poetyckiego Obertyńskiej, jednak — co trzeba przyznać — chyba dopiero w twórczości na obczyźnie odnajduje poetka swój oryginalny ton, nie pozbawiony zresztą akcentów tragicznych.

„Dni moje ciemne — jak puste wagony przepycham wciąż na boczny, ślepy jakiś tor, by mi na wolne, zbieżnikiem szyn, co to je przestzeń w nieskończoność wola, mógł upaść jak ekspres jakiś dzień jedyny, któremu się rzucić pod koła!”

Chciałoby się przypuszczać, że tomik PIW-u da początek stałej już obecności Beaty Obertyńskiej w świadomości wydawców i krytyków, a tym samym w świadomości krajowego odbiorcy.

Za granicą powstała także powieść Marka Hłaski „Palcie ryz każdego dnia” (PIW, 30 tys., cena 100 zł.), napisana w Stanach Zjednoczo-

nych na kilkanaście miesięcy przed śmiercią autora. „Palcie ryz” to ostatnia powieść Hłaski, którą oto wydawcy wprowadzają w szerszy, czytelnicy obieg po raz pierwszy (nie licząc tu wydania powielaczowego z roku 1981, ani druku w odcinkach przez „Miesięcznik Literacki”). Porządek, jaki wybrał PIW dla prezentacji autora „Pierwszego kroku w chmurach” jest dość zaskakujący: w ubiegłym roku wydano „Sonatę marymoncką”, pierwszy, napisany jeszcze w roku 1951, tekst Hłaski, a teraz jego utwór ostatni. Okoliczności w jakich powstał objaśniają po części jego temat i kształt literacki. Pobyt Marka Hłaski w Kalifornii, od października 1966 do maja 1969, związany był z umową o scenariusz filmowy zlecony pisarzowi przez Romana Polańskiego. A kiedy z tej współpracy nie wyszło, Hłasko podejmując pracę jako robotnik i zapisując się do szkoły lotniczej cywilnego w Santa Monica, po ukończeniu której otrzymuje licencję pilota.

Właśnie scenariuszowy charakter ma ta powieść (napisał ją Hłasko w latach 67—68), o skondensowanej fabule i dramaturgii, oparta wyłącznie o dialogi i sytuacyjny opis. A temat? Można byłoby powiedzieć, że to „Baza ludzi umarłych” w amerykańskich warunkach, świat ludzi psychicznie wypalonych i przegranych, społecznie wykorzenionych, z niejasną przeszłością i bez przyszłości. Mimo socjologicznej perspektywy autora, jest to powieść o psychologiczno-behawioralnym wymiarze — najbardziej „amerykańska”, (a nie myślę tu tylko o temacie) spośród wszystkich książek w polskiej literaturze.

Z równym przekonaniem polecam czytelnikom następny tytuł, a mianowicie Jerzego Zawilewskiego „Kartki z dziennika 1955—1969” (PAX, 20 tys., cena 400 zł.), tom pierwszy zamierzonej przez wydawcę edycji tego dramaturga, poety i powieściopisarza, Dziennik (to, co otrzymujemy, to niestety tylko wybór), bodaj zawsze jest najważniejszą wprowadzeniem do twórczości. W tym przypadku, tym ważniejszym, że Zawilewski przez polityczne zbiegi okoliczności, był pisarzem znanym w dość wąskich kręgach odbiorców. Teraz ma szansę zajęcia w polskiej literaturze powojennej właściwego sobie miejsca. Na kartach dziennika rysuje się postać świadoma swoich założeń artystycznych i ideowych, postać nie bez dramatycznych uwikłań w powinności pisarza i działacza, którym kierują na przemian wewnętrzny przymus tworzenia, radość tworzenia i wiarygodność co do walorów napisanych utworów. Jest poza tym dziennik Zawilewskiego osobistą kroniką polityczną istotnego w dziejach Polski Ludowej dziesięciolecia. Po roku 1956 pisarz zostaje wybrany posłem na Sejm, zostaje członkiem Rady Państwa, pełni funkcję wiceprezesa ZLP i PEN-Clubu, przewodniczy także w Klubie Inteligencji Katolickiej i ZAIKSie. Jest jednym z najbliższych przyjaciół kardynała Wyszyńskiego. Te fakty znajdują swoje odzwierciedlenie w dzienniku. Dziś już przeczodzą do historii, której osobisty wymiar w dzienniku pozwolił nam na jej pełniejsze rozumienie.

Innego rodzaju quasi-dziennikiem jest książka Stefana Żółkiewskiego „Cetno i licho” (KIW, 5 tys., cena 290 zł.), wybór esejów i tekstów publicystycznych z lat 1938—1980. Napisał

„quasi-dziennik”, bo jest ta antologia obrzecz (przecież niepełnym) ideologiczno-kulturalnych wędrówek autora przez polskie dekady od lewicowych początków, jeszcze przed wojną, poprzez marksistowskie dyktando „Kulisy”, demokratyzacyjne inicjatywy po roku 1956, aż do strukturalistycznych fascynacji Levi-Straussem. Autora nie trzeba przedstawiać. Uczony i organizator nauki, polityk i publicysta, inicjator wielu ważkich dyskusji w polskiej kulturze i literaturze, w „Cetnie i licho” przedstawia się czytelnikowi od wielu stron swą bogatą działalnością, zresztą nie bez autokrytycyzmu (tekstom dawniejszym towarzyszy w książce współczesny komentarz).

Niewielką powieść Paddy Chayefsky’ego i Sama Hedrina „Sieć” (KIW, 100 tys., cena 55 zł.), oglądali księgarniani klienci bez przekonania. A niesłusznie. Czytelnicy prasy filmowej poznali się na niej natychmiast. Bo jest to literacki zapis, powstały na podstawie scenariusza i głosego filmu Sydneya Lumeta „Network”. Był to w swoim czasie jeden z największych sukcesów kina amerykańskiego, sukcesów kasowych i artystycznych (cztery Oscary). Powieść arcydziełem z pewnością nie jest, ale każdy przeczyta ją z zainteresowaniem. Decyduje o tym temat: „Sieć”, to powieść o amerykańskiej telewizji, o najpotężniejszym dziś środku masowego przekazu w amerykańskich warunkach biznesu i polityki. „Telewizja — pisze we wstępie KTT — jest czymś więcej niż instrumentem kształtowania opinii — staje się światem samistym, wielką iluzjonistyczną rzeczywistością, którą miliony ludzi przeżywają jak własne życie”. A o „Sieci” pisze tak: „Jest to smutna, demaskatorska, pesymistyczna w swojej ostatecznej wymowie książka o jednym z najważniejszych problemów naszej współczesności, zobaczonym w jego wymiarze społecznym i jednostkowym, ludzkim”. Może by tak nasza tw zechciała „Network” pokazać? Byłby ten film dobrą kontynuacją jej dotychczasowych inicjatyw: „Nashville”, „Medium cool”, „Ojciec chrestny”, „Washington za zamkniętymi drzwiami”, „The day after”!

Po „Nowej krytyce”, antologii przedstawiającej „nurt w anglosaskich badaniach literackich tzw. „new criticism”, książkę w gruncie rzeczy dla profesjonalistów (PIW, 5 tys., 130 zł.). „Czytelnik” przedstawia nam wybór szkiców krytycznych, w opracowaniu Zbigniewa Lewickiego, „Nowa proza amerykańska” (nakład 20 tys., cena 280 zł.). Szkice te mają charakter interpretacyjnych esejów o najnowszej literaturze amerykańskiej. A ponieważ esejów dobrze napisanych i dobrze przełożonych, tym dla polskiego czytelnika wartościowszych.

Zwyczajowo, na koniec już tylko informacje bibliograficzne: kolejna powieść Jerzego Andrzejewskiego „Nikt” (PIW, 30 tys., cena 100 zł.), egzystencjalna metafora posilająca się motywami „Odysei”; siedemsetstronicowe „Dzieła wybrane” Johanna Wolfganga Goethego (PIW, 30 tys., cena 350 zł.), z wierszami „Lisem przechra”, „Faustem” (cz. I), „Higieną w Taurydzie”, „Cierpieniami młodego Wertera” i Eckermanna rozmowami z Goethem.

GRZEGORZ GAZDA

Gdy John F. Kennedy został zamordowany, przebywałem w Sajgonie. Był to dla mnie wielki szok. Był to człowiek, który w odróżnieniu od wielu współczesnych i tamtych lat nie uległ mistycyzmowi i romantyzmowi. Był człowiekiem, który w odróżnieniu od wielu współczesnych i tamtych lat nie uległ mistycyzmowi i romantyzmowi. Był człowiekiem, który w odróżnieniu od wielu współczesnych i tamtych lat nie uległ mistycyzmowi i romantyzmowi.

Pracowałem wtedy, już od 16 miesięcy, jako stażysta w redakcji NEW YORK TIMES w Wietnamie i często złożyłem Białego Domu skupiając się na mojej osobie. Mój świat wyglądał inaczej, niż było to przedstawione ogólnie: od Camelota do czystych jak lza współpracowników Kennedy'ego i ich czarujących żon, którzy przewijali się przez Białą Dom, którzy każdego wieczoru spotykali się z poetami, naukowcami i uczonymi, wszyscy pełni uroku, elokwentni, w tym poeci i bohaterowie z czasów wojny. Dla współczesnych byli symbolem łączącym ducha z urodą i władzą. Sam prezydent zaprosił kiedyś na przyjęcie do Białego Domu laureatów nagrody Nobla i ze specyficznym poczuciem humoru powiedział, że jest to najbardziej wyszukane, doborowe towarzystwo, jakie kiedykolwiek zebrało się w tym gmachu.

Minęło zaledwie kilka tygodni, gdy odprowadzałem na lotnisko mego przyjaciela, pułkownika, który został zmuszony do opuszczenia Wietnamu. Odważył się bowiem sprzeciwić oficjalnej polityce (Waszyngtonu), utrzymując, że jesteśmy na najlepszej drodze, by przegrać tę wojnę. Za swą prawdomówność i odwagę został wyrzucony z Wietnamu, wyrzucony przez ludzi, którzy byli przedstawicielami właśnie tej rządzącej ekipy.

Parę dni później brałem udział, wspólnie z kolegą, w mszy zorganizowanej na lotnisku w Tan Son Nhut, gdzie z wszystkimi honorami wojennymi żegnano zwłoki kapitana Special Forces. Wydarzenie to utkwiło mi w pamięci, na usta cisnęło się świdrujące pytanie: dlaczego musiał zginąć ten młody człowiek i czy to kogoś obchodzi. Dlatego właśnie ani ja, ani moi przyjaciele, nie ulegliśmy urokowi i czarowi Kennedy'ego.

Tego ranka, gdy miała nadejść ta wiadomość, pograżony byłem jeszcze w głębokim śnie. Obudził mnie Horst Haas, niemiecki fotoreporter, z którym razem mieszkałem. Dokładnie pamiętam jego słowa: „Dave! Dave! Oni zabili Kennedy'ego”. Jeszcze parę minut temu Horst był poza domem, na lotnisku w Tan Son Nhut, gdzie z wojskowej radiostacji usłyszał tę wiadomość. Miał zamiar uczestniczyć w operacji helikopterowej w delfcie Mekongu, ale gdy ta wiadomość do niego dotarła wrócił natychmiast do domu. Horst Haas był człowiekiem bardzo odważnym, gotowym do podejmowania ogromnego ryzyka podczas wypełniania obowiązków służbowych, ale nigdy nie zaryzykowałby życiem w takim dniu, ponieważ doskonale wiedział, iż nie ma najmniejszych szans na to, ażeby jakiegokolwiek rodzaju okazało się w jutrzejszej prasie. Tak różne są nasze światy: to co się stało w Ameryce, było straszne, ale dla nas zbyt dalekie. Możliwe, że byliśmy już przyzwyczajeni do strasznych wydarzeń.

Nawet dziś, po 20 latach trudno jest dokonać oceny zarówno samego Johna Kennedy'ego, jak i jego prezydentury. To jest tak, jakby miało się zająć opisaniem meteorytu. Trzy lata prezydentury nie są długim okresem, lecz cień Wietnamu bardzo długo ciążył nad kadencją Kennedy'ego i Johnsona. Przedwcześnie usprawnienie administracji Kennedy'ego, tak szybko dokonane przez współczesnych mu historyków i polityków, zresztą jego przyjaciół, służących jemu i gotowych służyć później jego młodszemu bratu, jest dziś bardzo zastanawiające. Spośród wielu napisanych przez nich książek dziś niewiele zyskało uznanie.

Romantyczny czar przysłał małe chmurki stały się dużymi gradowymi chmurami. Ogólna ocena jego administracji jest moim zdaniem, sceptyczna. Również 20 lat, które minęły od zamachu na niego, nie były dla Ameryki zbyt szczęśliwe. Najpierw wpadliśmy w szaleństwo Wietnamu, a stamtąd w afery Watergate, po Watergate w obecne ciężkie położenie ekonomiczne. Trudniej jest dziś rozwiązać problemy rasowe, a ponadto w minionych latach ciążyło piętno morderstw popełnionych na Martinie Lutherze Kingu, na bracie Kennedy'ego — Robertcie, jak też zamachów na George'a Wallacę, na Ronaldzie Reaganie, czy też na Geraldzie Fordzie. Nie był to szczęśliwy okres dla politycznego systemu. Ameryki: to co na początku ery Kennedy'ego oceniano z optymizmem i nadzieją, odbierane jest dziś cynicznie z pewną dozą zniecierpliwienia. Przed 20 laty panowała przekonanie, że zresztą wykorzystał Kennedy, że Amerykanie mogą ulepszyć nie tylko swój kraj, ale również cały świat. Być może, był to błąd ery Kennedy'ego może on i jego ekipa ponad miarę rozbudziła nadzieje i oczekiwania, nie biorąc pod uwagę tego, co było możliwe do wykonania.

Trudno jest dokonać oceny tak czarującego i elastycznego człowieka, jakim był Kennedy. Jeżeli byśmy trzymali się bilansu jego osiągnięć, w pewnym stopniu niepełnego to czuliśmy się pod jego, zupełnie tak jak osoba biorąca udział we wspólnym przedsięwzięciu, a dopiero później zadająca pytanie, ile ono kosztowało?

Sam Kennedy był niezwykle atrakcyjny, jego osobisty urok był potęgowany przez kamery telewizyjne. Był naszym pierwszym telewizyjnym prezydentem, wykorzystującym dobrodziejstwa telewizji z ogromną zręcznością i doświadczeniem, przy czym pozwalał nie tylko na filmowanie swojej osoby, ale również na filmowanie jego nadzwyczaj młodej rodziny.

Gdy dopisywał mu humor był mistrzem w prowadzeniu dyskusji. Gdy sprawy polityczne oscylowały w złym kierunku mógł zawsze liczyć na zdobycie sympatii przez publiczne pokazanie się z młodą, atrakcyjną rodziną. Przed wyborem go na prezydenta łącziliśmy sztukę aktorstwa tylko z Hollywoodem. Kennedy miał wrodzony talent aktorski zresztą jego żona również, o czym mogliśmy przekonać się na samym końcu jego kariery, podczas posiedzenia — było to zaiste wielkie telewizyjne show, pokazujące życie po amerykańsku. Kennedy szybko zrozumiał, że dzięki swemu wyglądowi i stylowi życia może przekształcić polityczną kła-

skę w zwycięstwo — za pomocą umiejętnego wykorzystania telewizji.

Inwazja w Zatoce Świń w 1961 roku była katastrofą, w pełnym znaczeniu słowa. Nie była jednak transmitowana za pośrednictwem telewizji, ponieważ podczas desantu na kubańską plażę nie było kamer telewizyjnych. W telewizji nie pokazano smutnego bilansu inwazji ani też młodych ludzi daremnie oczekujących na kubańskiej plaży na wsparcie z powietrza, czy też na rozkaz wycofania się. Pokazano natomiast szarmanckiego prezydenta, który z wielką prostotą wziął na siebie odpowiedzialność za to, co się stało (do czego zresztą był zobowiązany, ponieważ był w tym czasie naszym jedynym prezydentem). Rzecz zdumiewająca, ale popularność jego znacznie wtedy wzrosła. Nawet on sam był tym zaskoczony. Przyjaciółom powiedział, że gdyby więcej knocił, to karierę zakończyłby jako najbardziej lubiany prezydent w historii Ameryki. Być może kamera telewizyjna była jego najlepszym i najwierniejszym politycznym sprzymierzeńcem. W wystąpieniach telewizyjnych widoczna była jego absolutna wiara w siebie. Nigdy nie wątpił w swoją rację. To co innym wydawało się niejasne, dla niego było oczywiste. Dobrze wiedział, jaką przedstawia wartość. Gdy po raz pierwszy stał do kamery wyborczej, powiedział, że jest za młody, nie powinien tego zrobić.

John F. Kennedy — oduczony mit

wiadomości. Przyjaciółom mówił, że tylko Lyndon Johnson jest lepiej przygotowany od niego, ale i tak nie zostanie prezydentem. Dlatego też — mówił — nie widzi powodów, by nie kandydować. Podczas kampanii wyborczej 1960 roku John Kennedy zapytał go, czy nie jest zmęczony tymi ciągłymi podróżami. Nie, odpowiedział Kennedy, jak nie, ale ja i Nixon, ponieważ jestem przekonany, że to Nixon jest zmęczony. Padło pytanie: Jak to? Kennedy odpowiedział, że wynika to z tego, iż on sam wie kim jest i podczas publicznych wystąpień jest sobą. Nixon natomiast nie wie kim jest, dlatego też podczas wygłaszania przemówień zmuszony jest podejmować decyzje, którym Nixonem jest w danym momencie, a to jest bardzo trudne i męczące.

Konferencje prasowe, które były dla niego dziecianną zabawą, miały znaczny wpływ na wzrost jego popularności. Tu Kennedy czuł się najlepiej. Był cichy, szarmancki, dowcipny. Naród zafascynowany prezydentem udzielającym, bezpośrednio z Białego Domu, i to na żywo, tyle prawdziwych odpowiedzi, wnieśli go do pingowa, tak jakby walczył o główną nagrodę w jakimś konkursie. Jest to zastanawiające nawet dziś, gdy wszystko porównujemy z tym, co już było. Przed oczami bardzo konkretne obrazy wspomnień: sceny filmowe z podróży Jackie po Europie, czy też zdjęcia zrobione podczas spaceru na plaży (parę lat później Nixon próbował osiągnąć ten sam efekt, ale naturalnie zrobił to niezręcznie spacerując po plaży w butach). Albo też zdjęcie z małym synkiem, chowającym się pod biurkiem prezydenta. Szczególne wrażenie robią zdjęcia, na których jest razem z Jackie, oboje tak młodzi. Byli symbolem żywotności i nadziei całego narodu.

Był pierwszym amerykańskim prezydentem urodzonym w tym stuleciu. Jego miłość i to, co nazywamy wigorem i vitalnością, były bardzo atrakcyjne. Ta młodość widoczna była podczas kampanii wyborczej w 1960 roku, szczególnie podczas pierwszych miesięcy, gdy toczyła się w północnych stanach, takich jak New Hampshire, gdzie mimo przelkniętego zimna występował bez palta (dopiero później okazało się, że miał na sobie specjalną bieliznę). Jego świeżość i młodość były czymś więcej, niż styl. Zapowiadały, że USA, najpotężniejsze mocarstwo świata, zmusi Zachód do zaprzestania prowadzenia zimnowojennej polityki. Do tej pory duży wpływ na politykę Zachodu miały potężności II wojny światowej, i nie tylko. Eisenhower był prezydentem Stanów Zjednoczonych, de Gaulle Francji, Adenauer rządził Niemcami, a Churchill stosunkowo niedawno wycofał się z brytyjskiej sceny politycznej. Oni wszyscy byli ludźmi innej epoki: uosabiali się ich nie ze straszną koleją wojną światową, lecz z dwoma poprzednikami, nie mniej strasznymi. Wybór Kennedy'ego na prezydenta był pewnym symbolem kończącym tę erę.

Jedną z przyczyn jego popularności poza Ameryką było to, że dla ludzi mających nikłe pojęcie o polityce był symbolem nowego porządku. Nowy Świat stał się bardziej nowy.

Nikomu nie kojarzył się z osobą sprawującą władzę od lat, był nowy. Dla młodych był żołnierzem, który brał udział w II wojnie światowej, żołnierzem, który wraz z rodziną przeszedł ciężkie doświadczenia. Był prawdziwym bohaterem, co przyjmował zresztą z dużym poczuciem humoru: mówił, że do bohaterstwa został zmuszony przez Japończyków, którzy zatopili jego statek. Z perspektywy minionych lat można powiedzieć, że był człowiekiem swojej epoki. Bardzo mało łączyło go z błędami popełnionymi w przeszłości. W odróżnieniu od wielu innych, nie popadał w ideologiczne rozdwojenie. Być może wydawał się człowiekiem nie rozgraniczającym tego, co winna zawierać polityka, i tego, co jest możliwe do zrealizowania. Jednak zawsze, z zimnym wyrachowaniem, dostrzegał różnicę między jednym a drugim. Być może zrobiłby więcej dla dobra ludzkości, niż rzeczywiście zrobił, ale przynajmniej wiedział, co robi.

John Kennedy nie był w rzeczywistości politykiem szczególnie kierującym się emocjami, na pewno kierował się nimi w mniejszym stopniu, niż Lyndon Johnson, czy też niż jego młodszy brat, Robert. Był typem zimnokrwistym, jak też typowym przedstawicielem intelektualisty z Nowej Anglii irlandzkiego pochodzenia. Chętnie widział w sobie człowieka pozbawionego politycznych iluzji. Wybory wygrał

z bardzo małą przewagą i dlatego też zmuszony był do zachowania szczególnej ostrożności. Dużo spraw, które zamierzał przeprowadzić, odkładał na później — do realizacji podczas drugiej kadencji. Pierwsza, z konieczności, musiała być pozbawiona jakiegokolwiek ryzyka, miała być preludium do następnej.

Był pierwszym katolikiem wybranym na prezydenta. On i jego ojciec byli przekonani, że zostanie prezydentem (miał nim zostać jego starszy brat, który zginął podczas wojny, on miał zająć jego miejsce). Zawsze wiedział, że ma taką szansę, i być może miało to jakiś wpływ na jego poczucie humoru. Tezę tę potwierdza jego komentarz dotyczący kryzysu kubańskiego: „To jest tydzień, podczas którego dużo zyskam”. Wszystki i każdego gruntownie ocenił. Jeżeli na coś sobie mógł pozwolić, to tylko wtedy, gdy był przekonany, że to mu pomoże, a nie zaszkodzi.

Gdy było to możliwe, rezygnował ze stosowania szantażu, iż użycie broni jądrowej. Myślę, że było to spowodowane tym iż zdawał sobie sprawę, że raz był już o krok od takiej wojny — podczas kryzysu kubańskiego. Uważał się za człowieka nowoczesnego, postępowego. Zdawał sobie sprawę z tego, jaki los spotkałby ludzkość w przypadku wybuchu konfliktu nuklearnego. Na krótko przed śmiercią mówił o ewentualnej wojnie ze Związkiem Radzieckim, ostrzegając przed jej konsekwencjami. Jego zdaniem, w wyniku takiego konfliktu, w pierwszym dniu śmierć poniosłoby około 300 mln ludzi. Twierdził, że nakreślenie spirali zbrojeń jest wysiłkiem groźnym w skutkach dla całej ludzkości. Nie byłoby wygranych, ani też przegranych, a może byłoby tylko ci ostatni. Dlatego też często podkreślał, iż obowiązkiem obu supermocarstw jest dążenie do zawarcia porozumienia kładącego kres tym bezmyślnym zbrojeniom. Myślę, że nienawidził tych, którzy bez zastanowienia szantażowali użyciem tej okrutnej broni. Kiedyś jeden z redaktorów naczelnych jakiejś teksaskiej gazety zarzucił mu, że jest za miękki i układowy (w polityce zagranicznej). Na to Kennedy odpowiedział, że jest tak samo twardy, jak był, że nie zostałby wybrany prezydentem, gdyby był miękki, że odpowiada za życie 200 mln Amerykanów, a jest to ogromna odpowiedzialność. Dziedzictwem jego prezydentury jest układ z 1963 roku, który był pierwszym krokiem w ograniczeniu zbrojeń nuklearnych. I jeżeli dziś, 20 lat później, coś nie gra w stosunkach amerykańsko-radzieckich, to tylko to, że widocznie poruszaliśmy się do tyłu, przy czym nasze ciosy były poniżej pasa.

Prawdą jest, że w tamtych latach wielu Amerykanów czuło się lepiej lub co najmniej pewniej w swoim kraju niż dziś. Być może czasy były lepsze, żyliśmy w erze dobrobytu i wzrostu zaufania. Ameryka była bogata, a prawie cały pozostały świat — ubogi. Tylko my żyliśmy od momentu wybuchu II wojny światowej w dobrobycie.

W polityce wewnętrznej najpoważniejszy był problem „Czarnych”. Problem z resztą nie do rozwiązania. Wiara epoki i wiara Kennedy'ego uzupełniały się wzajemnie, wydawało mu

się, że ulepszy ten kraj, był przekonany, że Ameryka znajduje się na słusznej drodze. Myślę, że w odróżnieniu od Lyndona Johnsona, miał koncepcję stworzenia nowoczesnej Ameryki, a także tego, jakim powinien być prezydent i jakimi drogami ma iść dalej ten kraj. Na pewno do epoki tej należał pewien rodzaj dumy, pychy, zarozumiałstwa oraz, w pewnym sensie, masochizmu. Kennedy'owie byli zwiastunami tego stylu. Byli nie tylko elegancy, nie tylko liberalni, ale też twardzi. Podczas jednej z pierwszych konferencji prasowych Joseph Alton nazwał go „Stevensonem z jajami” i Kennedy'emu spodobało się to określenie, gdyż od razu podkreślało różnicę między nim a Stevensonem. Ten masochistyczny styl był wtedy bardzo modny, ponieważ znajdowaliśmy się w najgorszej fazie zimnej wojny, a nasza arogancja w stosunku do władzy nie była jeszcze pokrzepiona przez Wietnam. Kennedy miał nadzieję na odejście od zimnej wojny, że dojdzie do takiej sytuacji, w której oba supermocarstwa wyjdą naprzeciw siebie, określą granice swoich wpływów, zmierzają swoje siły i rozwijają wzajemną nieufność. Kennedy obawiał się chyba najgorszych deformacji zimnej wojny, ale też nie nie zrobił, by zerwać z pozostawionym mu przez jego poprzedników spadkiem. Era McCarthy'ego praktycznie minęła, a sam McCarthy został surowo ukarany przed 7 laty. John Kennedy nie był w stanie uporać się z politycznym spadkiem odziedziczonym po McCarthy'ym, szczególnie w aspekcie amerykańskiej polityki wobec komunistycznych Chin. Nigdy nie wierzył w to, że John Kennedy uosabiał Tajwan a Chinami. Gdyby pozwolił sobie na to, to natychmiast byłby nazwany przez Richarda Nixona „czerwonym”. Nixon zrobił to kilkanaście lat później (jako jedyny amerykański prezydent mogący sobie pozwolić na podróż do Chin bez obawy, że ktoś nazwie go „czerwonym”). Nie mogąc dostrzec problemu chińskiego, nie mogliśmy skutecznie realizować naszej polityki wobec innych państw tego regionu, co było dla administracji Kennedy'ego katastrofą. Niemożliwość zmiany naszej polityki wobec Chin spowodowała, iż niesamowicie racjonalny rząd działał w nieracjonalnych ramach. Ponieważ nie uważaliśmy Chin za to, czym w rzeczywistości były, ponieważ w porę nie dostrzegliśmy rozdźwięku w stosunkach chińsko-radzieckich, nie byliśmy w stanie prowadzić prawidłowej polityki wobec Wietnamu. Dlatego też nie mogliśmy dostrzec tego, że wietnamski przeciwnik jest spadkobiercą nie rewolucji, a silnego nacjonalizmu. Biednie ocenialiśmy sytuację w Wietnamie i dlatego też musieliśmy się wycofać z tej wojny, a nawet ją przegrać. Bardzo wysoką ceną zapłaciłmy za nasze błędy. Ekipa Kennedy'ego uważała problem wietnamski za mało ważny, zresztą ten kraj leżał tak daleko od USA. Nie powinno to być jednak dla nas zaskoczeniem: administracja Kennedy'ego zajęta była konferencją w Berlinie, bronią atomową i Rosjanami oraz wydarzeniami na polskiej Kubie. Pamiętam, że do kraju powrócił wtedy z Wietnamu dziennikarz TIME/LIFE, Stanley Karnow. W rozmowie z Bobbym Kennedy'ym stwierdził, iż prawdopodobnie Wietnam będzie jedynym ich (rządu) problemem w Azji. „Wietnam... nie. Codziennie mamy tu 30 Wietnamów” — odpowiedział Bobby.

John Kennedy nie miał zamiaru wplątywać się w wietnamską awanturę. W prywatnych rozmowach z przyjaciółmi mówił o tym, jak trudno jest zastopować kółko wojenne, gdy dojdzie do czegoś takiego jak w Wietnamie. Najpierw wojsko prosi o trochę, i to się im zapewnia, a potem coś nie gra, więc proszą o więcej, i znowu daje się im to — tylko, że wtedy okazuje się, że mocno wplątaliśmy się w taką historię i nie można już podjąć decyzji na co można sobie pozwolić, a na co nie.

Zawsze dostrzegała była różnica między jego prywatnym a oficjalnym zdaniem. Sytuacja w Wietnamie oceniał następująco — należy znacznie wzmoczyć retorykę, zwiększyć z 600 do 20.000 ilość amerykańskich doradców wojskowych w Wietnamie. Swoim następcę pozostawił twardogłowy, technokratyczny szef doradców, który doprowadził do tego, że ugrzęźliśmy w bagnie. Lyndonowi Johnsonowi mocno wiazała ręce, mocniej niż ktokolwiek komukolwiek wcześniej. Prawdę mówiąc, cień Wietnamu silnie zaznaczył się zarówno na jego, jak i na Johnsona karierze.

Na pewno nie był przeciwny wysłaniu do Wietnamu amerykańskiego wojska. Zawsze twierdziłem, że jak na polityka był za rozsądny i za trzeźwo myślący. Myślę, że zwiększenie ilości amerykańskich doradców wojskowych w Wietnamie było częścią planu polegającego na pozyskaniu zwolenników spośród prawego skrzydła demokratów, a tym samym pozwalającego zmierzyć się w 1964 roku z Barrym Goldwaterem i odnieść przekonujące zwycięstwo, a dopiero potem znaleźć pretekst umożliwiający wycofanie się z Wietnamu. Nie osiągnął tego, co zamierzał. Na polach ryżowych Indochin pogrzebał szansę na drugą kadencję. Myślę, że gdy podejmował decyzję w sprawie Wietnamu, nie spodziewał się, że to tak się zakończy. Dla prezydenta, który całą uwagę skupił na Związku Radzieckim i na Berlinie, Wietnam był tylko małym, odległym punktem na mapie świata.

Wszyscy oni (administracja Kennedy'ego) byli tak czysti, młodzi, zarozumiali i pewni siebie. Byli przekonani, że mają wystarczającą ilość czasu, nie jeden rok, lecz pięć lat, na zrealizowanie swoich planów. Byli przekonani, że odniosą zwycięstwo w wyborach 1964 roku, a niektórzy spośród nich twierdzili nawet, że od 1968 roku urząd prezydenta sprawować będzie Robert Kennedy. A wtedy byłaby to już cała dynastia.

Ten rząd mógł nie tylko kontrolować różne wydarzenia, ale też mieć wpływ na ich przebieg. Byli oni (administracja Kennedy'ego) tak pewni swej racjonalności, że nie mogli pojąć, iż błahę, najbardziej spośród innych nieracjonalne wydarzenie, może wszystko zrujnować.

DAVID HALBERSTAM
(„STERN”)



Polemiki • Listy • Opinie

CHORA SŁUŻBA ZDROWIA

Osmiełam się zabrać głos w sprawie służby zdrowia i ataków na nią, a także poprosić o obronę tej służby, jako obywatelka PRL, od urodzenia mieszkanka Łodzi i wieloletnia pacjentka łódzkiego szpitala.

Jestem przeciw przestępstwom, także kryminalnym, niezależnie od tego, kto się ich dopuszcza, ponieważ uważam, że życie w społeczeństwie wymaga przestrzegania przyjętych norm. Na straż tego stoi wymiar sprawiedliwości i do niego należy dochodzenie prawdy w konkretnym indywidualnym przypadku. Jestem jednak również przeciw pomówieniom i pochopnym uogólnieniom.

Rozumując w sposób emocjonalny, uogólnienie w rodzaju „środowisko lekarskie jest skorumpowane” (E. Bryl, Odbiosy nr 1 z dn. 7.01.84 r.), można by odnieść również do innych środowisk. W minionym okresie ujawniano niejednokrotnie przypadki upadku etyki zawodowej. I nie tylko w środowisku lekarskim, ale także w innych, w skali ogólnospołecznej. Ujawniono też, że brak prawidłowej bieżącej kontroli doprowadza do powstawania „afet”.

Zalóżmy, że służba zdrowia jest chora. Znałe są symptomy choroby, ale przed postawieniem diagnozy należałoby poszukać jej źródeł. Zrobiła to p. red. Izabella Szenkowska w artykule „Bronię doktora Z.” w „Polityce” z dnia 14.01.1984 r. I solidaryzuję się z nią, a także z listami lekarzy, obrazującymi ich pracę i warunki, a w tym z listem lekarza, podsumowującego swój „dorobek życiowy” w postaci: „Specjalizacji, rozvodu po dwóch latach małżeństwa, nie zapłaconego mieszkania spółdzielczego, „malucha” kupionego przed 12 laty przez matkę z oszczędności jej całego życia”.

W swoim ponad 50-letnim życiu, niewolnym od intensywnej pracy, trosk, a nawet tragedii leżałam kilkanaście razy w łódzkich szpitalach i stwierdzam, że trzykrotnie uratowano mi życie, wielokrotnie zapobieżono rozwojowi choroby i jej skutków. Za każdym razem miałam okazję obserwować ogromne, bezinteresowne zaangażowanie personelu medycznego i pielęgniarstwa, autentyczne zmartwienie lekarzy, gdy pacjent był w złym stanie, radość, gdy „miał mu się na życie” i odczucie osobistej pokusy, gdy pacjentowi pozostawała ostatnia posługa „księdza”. Za to żywię głęboką wdzięczność i mam szacunek do tych ludzi.

Widziałam lekarzy i pielęgniarki padających ze zmęczenia na ostrych dyżurach i po nich, gdy musieli następnego dnia odpracowywać swoje 8 godzin przed pójściem do domu lub do drugiego miejsca pracy. I ratowali życie 29-letniemu przestępcy, wytatuowanemu na ciele, który dokonał samookaleczenia, i starszej kobiecie z krwotokiem żołądka, i ludziom z wypadków przy pracy i drogowych, i porzuconym, zaniedbanym dzieciom, i samobójcom, i chorym, a zadufanym w swej „wielkości”, którym choroba dała czas na myślenie i zastanowienie, i starszemu z kółtunem na głowie, której syn zabierał rentę, i chłopce, która ranę żylakową leczyła spieniałym chlebem, i wielu, wielu innym ludziom schorowanym, skołatanym i uwięzionym przez życie. Ratowali w imię człowieczeństwa, jak chce p. red. A. Mozołowski („Polityka” j.w.). I bywało, że lekarz był pierwszym spowiednikiem niektórych i że próbował znaleźć rozwiązanie przez rozmowy z rodziną, umieszczenie udręczonego człowieka w domu starców lub w inny sposób.

W tym miejscu chciałabym zwrócić uwagę na fakt, że lekarz i pielęgniarka są jak i my zwykli ludźmi, nie zaś nadludźmi, lub mitologicznymi tytanami nie znajdującymi zniszczenia. Ich doba ma też 24 godziny, pełnią służbę często kosztem życia osobistego, rodziny, zaniedbania troski o własne zdrowie. W ich świecie panują swoiste prawa. Nie wypada chorować, bo to obciąża pracę innych. Bywa, że osoby, które powinny im być najbliższe nie wykazują zrozumienia dla ich służby, co wikła ich życie osobiste. Lekarz musi się specjalizować. Po 6 latach studiów potrzeba mu następnych co najmniej 6 lat, aby stać się specjalistą I lub II stopnia. A wiedza i nauka, jaką musi sobie w tym czasie przyswoić staje się jego sprawą osobistą, która musi się zmieścić w tych samych 24 godzinach. Przy dobrych układach rodzinnych i wzajemnej tolerancji oraz pomocy osiąga lekarz swój upragniony cel. Ale bywa też, że nie dożywa późnego wieku, do staje zawału, popada w ciężką chorobę, bo gdy zaczyna zwracać uwagę na stan swego zdrowia, jest już za późno na ratowanie życia. A przecież pracuje w „służbie”.

Minęły czasy, w których „służba” miała znaczenie pejoratywne. Wg S. Szobera „Słownik poprawnej polszczyzny” s. 586, „służba” — oznacza też „zespół ludzi pełniących służbę”. Ze służbą w wojsku, kolejniectwie i in. związany jest szereg obowiązków, ale równocześnie szereg przywilejów. Proponuję porównanie przywilejów, usankcjonowanych odnośnymi przepisami i nie dlatego, że mam coś przeciw przywilejom dla „służby”, ale dlatego, że uważam iż przywileje są rekompensatą za to, że możemy spokojnie spać, chodzić po ulicy, jeździć pociągami w dzień i w nocy, że pozostający w „służbie” ryzykują bardziej od innych swoim zdrowiem i życiem. Kto wstępuje do służby powinien być świadom jakie przyjmując obowiązki, jaką ponosi odpowiedzialność, ale także i tego, jakie są mu przynależne przywileje, dane mu po to, aby mógł lepiej służyć innym i pozostać uczciwym w pamiętniku służby. I to powinno być zaakceptowane społecznie. W innym przypadku będą trudności z naborem do służby, co już objawia się brakiem pielęgniarek i salowych w szpitalach, a czego skutków nie trzeba udawać.

Nie jestem przekonana o tym, czy przed zakończeniem postępowania wyjaśniającego, dowodowego, czy też śledztwa przeciw dr Krawczykowskiemu słuszne jest stosowanie wspomnianych uogólnień na temat całej służby zdrowia i środowiska lekarskiego, które przecież nie składa się z samych „przekupnych ordynatorów”.

Uogólnienia i to opublikowane mają to do siebie, że słyszą je wszyscy, odwołania zaś tylko nieliczni, a pośrodku pozostają ludzie uczciwi, pracujący w sposób oddany, godni szacunku, ale żyjący w określonych układach bodźców czy antybodźców, struktur organizacyjnych i warunków pracy, a których walor osobistego poświęcenia nie idzie w parze z poprawą ich sytuacji życiowej i materialnej, a na których pozostaje niezaspokojenie ślad racjonalnego bólu.

Przed około 20 laty byłam służbowo w RFN, gdzie zachorował kolega, Polak mieszkający w tym samym hotelu. W nocy prosił mnie o sprowadzenie pomocy lekarskiej. Pamiętam, że wówczas biogostawiam nasze pogotowie ratunkowe. Tam takowego nie było. Lekarz obudony i wezwany prywatnie wziął za wzytę i zastrzyk 20 DM, zaś późniejszy pobyt w okresie trzech tygodni w szpitalu miejskim kosztował firmę, która nas zaprosiła 190 DM/dobę. Nie jest to dowód na wyższość lub niższość służby zdrowia w RFN, lecz na inność organizacyjną.

I jeszcze jedno. Nie jest celem tego listu pouczenie nikogo, zabieram głos w dyskusji, ponieważ jestem jak i p. red. E. Bryl za naprawieniem i doskonaleniem rzeczywistości w jakiej żyjemy, ale także i za tym, aby leczyć objawy „choroby” nie przy-ciemniając źródła z jakiego powstała.

mgr E. F.
(Imię, nazwisko i adres znane redakcji)

GDYBYM DRUGI RAZ WYBIERAŁA...

Ostatnio dużo i źle pisze się o Służbie Zdrowia. Jak w każdym narzekaniu jest gorzka prawda i przesada.

Redaktor Edward Bryl jest prawie „etatowym” naszym redaktorem (piszę „nasz” bo jestem pracownikiem Służby Zdrowia) traktuje nas przeważnie krytycznie. Mogę mu wiele wybaczyć, ale ostatnio jego informacje pochodzą ze źródeł niezbyt wiarygodnych.

Do wspólnej dyskusji nakiloni mnie złośliwy, pełen jadu artykuł pewnej Pani w „Odbiosach” numer 4 z dnia 28 stycznia 1984 roku, którą cechuje duża złośliwość, ale jak mało cywilnej odwagi (artykuł bowiem nie podpisany nazwiskiem). Wiadomo jednak, że zarówno nienawiść jak i namietności są ślepe. Z tego to pewno powodu i zaślepienia sprowadziła owa Pani rangę zawodu pielęgniarstwa do „rozpinania lekańskich rozporządzeń”.

Właśnie ten artykuł spowodował, że weszłam mimo woli w swoje dojrzałe życie, gdzie w białym czepku przepracowałam dwadzieścia parę lat. To nie są stracone lata — wprost przeciwnie, tyle w nich pięknych chwil. Z zawodu jestem położną. Uczestniczę w momencie granicznym z cudem — rodzi się nowy człowiek. Jest krzyżący, ciepły i bezbronny. Dane mi jest z rangi mojego zawodu dotknąć go, zobaczyć i udzielić pierwszej pielęgnacji przed rodzicą matką. Ile porodów w życiu odebrałam, tyle wzruszeń i emocji. Praca trudna, odpowiedzialna, ale i tak piękna. Szpital — pogotowie, pogotowie — szpital, tysiące godzin przy łóżku rodziców i wiele, wiele dyżurów nocnych.

Wspominam święta, sylwestry spędzone w szpitalu na dyżurach przy ludziach potrzebujących naszej pomocy. Szczególnie jeden pozostał mi w pamięci. Dyżur popołudniowy — telefon, muszę zostać na noc sylwestrową, ponieważ koleżance zachorowało dziecko. Moje własne przyszło po mnie do szpitala. Wracało samo. Zycieliwi sąsiedzi przygarbieni na ten wieczór. Opowiadał mi najajutrz, że po porodzie moja mała córeczka miała kolnierz od kółka mokry od lez.

A moja noc sylwestrowa upłynęła w gorączce pracy, w biegu. Umierała w sali porodowej kobieta. Gdy o godz. 4 nad ranem walka o życie zakończyła się zwycięstwem, nie miałam siły złożyć sobie noworocznego życzenia.

Wiara w człowieka, głęboka miłość do niego pozwala nam wytrwać w tym zawodzie. Te z nas, które tego nie poczuły w sobie, odeszły do innych zawodów, gdzie płaca lepsza i „święty” spokój. Nie jest zupełnie prawdą, że pozbawione jesteśmy ludzkiej wdzięczności, która jest dla nas największą nagrodą.

Są rodziny moich pacjentek, do których weszłam na stałe. Dziękują mi za moją radość i smutkiem. Służę mi radą i zwykłym ciepłym słowem.

W rozmowach z koleżankami ze szpitala słyszę nieraz narzekania, że płaca niska, liczba pacjentów na jedną pielęgniarkę powyżej wszelkiej normy, brak salowych na dyżurach nocnych. Na moją uwagę, że po tylu latach ciężkiej służby w szpitalu mogą przeniesić się do lepszej pracy, patrzą na mnie długo nie rozumiejąc co do nich mówię. One tutaj, w szpitalu są potrzebne, tu zostały swą młodość. Gdybym kiedykolwiek na nowo miała wybierać zawód, wybrałabym zawód położnej.

Niesmaczny paszkwił tej Pani nie zabrał mi wiary w moje pacjentki. Staram się tłumaczyć tę Panią — może ma lekarz lub kochanek odeszły od niej z młodością, powabną pielęgniarką. Samo życie. Ale jeśli nawet tak się stało, nie wolno robić krzywdy białemu, czerniowi i obrzucać go błotem.

Zycze tej Pani dużo zdrowia i humoru takiego, jaki miała wcześniej niżej łanówkowy koniak i zjadając łanówkowe łakocie przy muzyce płynącej z taśmy magnetofonu otrzymanego również jako łanówkę. Jeśli jednak trafi kiedys do szpitala niech wnukowie, bez złości przypatrz się naszej pracy, może wtedy nabierze szacunku do kobiety pielęgniarzki.

WIESŁAWA HERBUK
(Pabianice)

RETKINIA

Z ogromnym zaciekawieniem przeczytałam artykuł zatytułowany „Wybuchowo, czyli różne odcienie dramatu”. Muszę przyznać, że już b. dawno równie interesujący reportażu nie znalazłam w „Odbiosach”, których jestem stałym czytelnikiem od pierwszego numeru. Po raz pierwszy też autor, Dariusz Doroczyński, zdobył się na tak odważne poruszenie niektórych aspektów, chyba zawstydzających tzw. kompetentne czynniki w mieście. Zresztą jest to nie tylko moje zdanie, ale wielu znajomych, którzy zwrócili uwagę na wspomniany tekst.

Prasa jak dotąd raczej oszczędnie pisze o dramacie na Retkini. Nikt nawet nie pofatygował się, aby odwiedzić poszkodowanych, napisać jak naprawdę żyją, jak wiele, bardzo wiele mają kłopotów i trudności. Zostali przecież niemal wyłącznie z tym co mieli na sobie 7 grudnia ub. roku...

Na pewno też opinia publiczna chętnie dowiedziaby się o rozliczeniu datków przekazywanych na specjalne konto Polskiego Czerwonego Krzyża. Chyba mamy do tego prawo? Ale już bez wplatywania w to ośdzekodowań PZU.

W sytuacji poszkodowanych jestem o tyle zorientowany, że mam na bieżąco, że tak powiem informacje, ponieważ ta tragedia dotknęła jednego z moich najbliższych przyjaciół. Myślę, że na wyjaśnienie służy mi taka okoliczność jak fakt, że już po kilku dniach zlikwidowano punkt informacyjny w „Oazie”. Od tego czasu wszyscy poszkodowani wszystko muszą sobie załatwiać sami, całymi dniami chodząc po różnych instytucjach i urzędach. Często spotykają ich upokorzenia. Sprawy nie wszystkie (jak np. ów nieszczerzy komunikat p. rzecznika) załatwiane są taktywnie, w sklepach irytują ludzi wywieszki na towarach: „tylko dla poszkodowanych”.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

TELEFONY W ŁODZI

W związku z notatką prasową, która ukazała się na łamach Waszego pisma w dniu 7.01.84 r., a dotyczyła kłopotów abonentów centrali „Centrum” w uzyskiwaniu połączeń z numerami rozpoczynającymi się na: 32, 33, 43, 78. Wojewódzki Urząd Telekomunikacji w Łodzi uprzejmie wyjaśnia, że trudności w uzyskiwaniu połączeń z numerami rozpoczynającymi się na „78” spowodowane są stanem technicznym centrali „Wschód” i poprawa nastąpi dopiero po wymianie urządzeń tej centrali, co przewiduje się w II i III kwartale 1984 r.

Natomiast w pozostałych relacjach oraz w ruchu lokalnym nie stwierdzono żadnych nieprawidłowości i centrala pracuje prawidłowo.

INŻ. ZBIGNIEW ROMANOWSKI
z-ca dyrektora
ds. Urządzeń Sieciowych

PRZEPRASZAMY!

W Nr 8 „Odbiosów” został umieszczony mój list otwarty p. „W obronie Stacha z Warty”, lecz moje nazwisko zostało okaleczone: zamiast Kaleniewicz podano „Kalewicz”.

Proszę o umieszczenie sprostowania w rubryce „Polemiki-Listy-Opinie”.

Z poważaniem!

EUGENIA KALENIEWICZ

Autorke listu i Czytelników serdecznie przepraszamy!

A MOŻE...

Ludzie listy piszą... a Szanowna Redakcja na nie nie odpowiada, po prostu jak chce. To zależy może od treści listu, jego tekstu, krytyki lub osoby nadawcy. Przeżyłem swego czasu tego rodzaju niepowodzenie, lecz nie mam pretensji do Redakcji, bo to też zespół ludzi o różnych kierunkach społecznych, etycznych, politycznych. Ale do rzeczy.

Wznowiono druk powieści Z. Nienackiego pt. „Jeden rok w Skiroławkach” na łamach „Odbiosów”. Proszę tę spełnić obietnicę na ogólne żądanie czytelników „Odbiosów”. Pytam się — na czyje żądanie?

Czytelnik rozsądny, który widzi w literaturze wartości moralne i wychowawcze nie weźmie do ręki po raz drugi tej sex-bzdury. Z. Nienacki opisał środowisko, w którym aktualnie przebywa, w sposób brutalny, wręcz ohydny, łączy pary i każe im się wyzywać jak zwierzętom w swym popędzie.

Miała to być rzekomo powieść dla młodzieży, jako że Z. Nienacki miał miano pisarza młodzieżowego. Od takiej „młodzieżówki” ratuj nas i chroń Panie i od tego rodzaju pożywek kulturalnych. Jeżeli w ten sposób chcemy wychować kogoś i dać przykład, to raczej zacińmy ten kurs od siebie. Opisarze bowiem niektóre sex-party w powieści, przebieg, sposób, fizyczno-techniczne poczynania z anatomią włącznie — są zwykłą erotyczną bzdurą i kiepską wyobraźnią autora.

Poszczególne bohaterów powieści pozamieniał w zwykłe zwierzęta w swej rui, a najgorzej na tym wyszła godność i szacunek kobiety. Nawet ta kobieta przez małe „k” nie postąpi tak, jak Widłagowa, niczym goniąca się suka czy krowa. Nie jestem o. paulinem, o, na pewno nie, wiem jednak, że kobieta od jej narodzić spełnia swą funkcję Matki i Kochanki, jest symbolem miłości i życia, daje więcej jak bierze, itd. Dlatego zasługuje u wszystkich, szczególnie u pisarzy, na szacunek i uznanie, miłość. Dlaczego jej nie docenił Z. Nienacki, lecz zbezcześcił jej godność w swoich sex-nonsensownych scenach?

A może zamiast tego rodzaju powieści w „Odbiosach” wznowimy inny rodzaj rozrywki kulturalno-wychowawczej. Proponuję — jeśli znajdzie się miejsce, drukować inne wartościowe powieści lub ich fragmenty, które najbardziej utkwiły w pamięci czytelników. Np. fragment z „Quo vadis” H. Sienkiewicza, w którym Neron ulaskawia Ligię i Ursus po jego walce z turem i samą walkę. Można wybrać również coś z obcych pisarzy, np. Dumasa, Hugo, itp. Oczywiście, w drodze ankiety wśród nas. Dalej proponuję przypomnieć niektóre sukcesy naszych sportowców, odnoszone na całym świecie. Bo sportu w „Odbiosach” w ogóle nie ma. To co wymienię, uzupełnię dobrą krzyżówką, humorem, satyrą, anegdotą itp. Ostatnio ukazuje się w „Odbiosach” sporo rysunków porno i goliżny. Dla kogo? Jest nam całkowicie obojętne, co to będzie za wymiar, jaka poza, jaka figura — to bez wrażeń.

Proponuję rysunki M. Berezowskiej, która szczególnie lansowała ten kierunek, lecz były one pełne piękna, kultury, wręcz poezji. A przecież „Odbiosy” to tygodnik społeczno-kulturalny i żyć mu, aby w nim nie odezwały się odbiosy brudu, szmiry, zgorznienia.

Zachęcając nas do pisania listów, obojętne czy będą to słowa krytyczne lub pozytywne, słowem dla dobra „Odbiosów”. Może moje słowa są zbyt ostre czy przykre, za to z góry przepraszam. A może wniosek odrobiny poprawy, pomogą, dadzą coś nowego, Ano, zobaczymy.

Serdeczne pozdrowienia dla całej redakcji „Odbiosów” śle

WŁADYSŁAW DOMAGAŁA
(Bratoszewice)

DO REDAKCJI:

List Władysława Domagały z Bratoszewic wymaga kilku słów komentarza.

1. Prawdziwy tytuł powieści Zbigniewa Nienackiego brzmi „Raz w roku w Skiroławkach”. Powieść ta ukazała się już drukiem, ale w bardzo niskim nakładzie. Sprzedano ją w jednej z łódzkich księgarni w ciągu kilku minut.

2. Władysław Domagała pyta, na czyje żądanie wznowiliśmy druk powieści Z. Nienackiego. Myślę, że zamiast odpowiedzi można podać dwie liczby. Kiedy zaczęliśmy druk tej powieści, nakład „Odbiosów” wynosił niewiele ponad 10 tysięcy.

3. Dziś drukujemy „Odbiosy” w nakładzie 35,5 tys. egzemplarzy.

4. Władysław Domagała nie wie widać, że Zbigniew Nienacki, obok popularnych powieści dla młodzieży, ma też w swoim dorobku kilka pozycji przeznaczonych dla dorosłych czytelników.

5. Już starożytni Rzymianie przestrzegali, aby o gustach nie dyskutować. Pozostawmy wierni tej zasadzie.

6. Z dużym zdziwieniem przeczytaliśmy, że „kobieta od jej narodzić spełnia swoje funkcje Matki i Kochanki”. Czy aby nie jest to zbyt bliska przesada? Być może Władysław Domagała nie jest ojcem paulinem, ale na kobietach też się chyba nie zna...

7. Dyskusja nad tym, co dziś znaczy formuła pisma „społeczno-kulturalnego” wykracza poza ramy zarówno listu Władysława Domagały, jak i odpowiedzi na ten list.

Tu „Republika”. Można poprosić o ostatnie notowania? — Dolar mocniej 880 w iądaniu 888 w placeniu. Marka n' miecka słabiej — 2.05 Funt angielski spadł do 34.60. Poszukiwane franki francuskie i szwajcarskie. Złote ruble 550-560. Popyt na złoto duży. Papiery procentowe mocniej 8-procentowe lódzkie listy zastawne 60.5, warszawskie 63. Poż... ka inwestycyjna 77 o trzy punkty więcej od wczorajszych notowań...

Takie cedulki otrzymywaliśmy przed wojną codziennie, a było kilka razy dziennie z lódzkiej Giełdy Pieniężnej — i zamieszczaliśmy je w każdym numerze na kolumnie „Kurier Handlowy”. Giełda owa często stała mi przed oczyma gdy wchodziłem do naszego Klubu Dziennikarza, bo właśnie tu, w tej samej sali, rozłożyli się w owych latach kursy walut i papierów wartościowych.

Dom przy ul. Piotrkowskiej 96, ongiś „pałac Siemens”, należał do handlowca Dwormana. Jeszcze dziś lódzka Delegatura RSW „Prasa” płaci komornego jego spadkobiercom Giełda zajmowała kilka pokoi na pierwszym piętrze. W pozostałych kondygnacjach działały różne instytucje i organizacje przeważnie branży zwierzęco-warzywnej. Tam, gdzie po wyzwoleniu wprowadził się „Dziennik Łódzki”, miał swą siedzibę Łódzki Związek Hodowców Bydła. Piętro niżej gdzie redaktorzy „Głosu Robotniczego” wystukali na maszynach artykuły, rozwijał owocną działalność Związek Hodowców Trzody Chlewnej i Owiec. Można na odwrót — nie pamiętam na ileś lokatorów figurowały jeszcze m.in. Wojewódzki Związek Ogrodników oraz Związek Hodowców Koni.

Kryształowe windy w obydwu klatkach schodowych bezszelestnie wjeżdżały w górę i na dół, o dziwo — bez awarii. Na interesantów czekały wyszczerzone czerwonym pluszem ławeczki, a piękne maszyny obsługiwał szwajcarzy w szamerowanych złotem uniformach.

Giełda lódzka, utworzona w 1899 r. w latach trzydziestych do wybuchu drugiej wojny światowej, kierował dyrektorem Maurycy Tempelhof mając do pomocy sztab urzędników, w tym dwóch przysięgłych, a także maklerów w osobach p. p. Zygmunta Kahana i Czesława Dobczyńskiego. W Radzie Giełdowej zasiadało jeszcze dwunastu panów reprezentujących lódzką światłość przemysłowo-handlową. Skarbnikiem był Jan Schiff właściciel Dłomu Bankowego. Hieronim Schiff i Spadkobiercy”. Tuwim wspomina go w „Kwiatkach Polskich”:

...A no drodze:
Najpierw fotograf Turasowski,
Tutaj kawiarenka, potem bankier
Hieronim Schiff z łusina duża,
Przez długą, długą pipkę kurczy;

Rojno i gwaro było w dzisiejszej sali Klubu Dziennikarza. Zwalazcza w okresie bessy, gdy kurs napierów spadał lub hessy, kiedy papierów giełdowe zwyczajowo przynosiła na wstępie cedulka do notowania z 16 października 1931 r. Wtedy kursy walut nie ulegały większym wahaniom, sytuacja gospodarcza nie wprowadzała waluty złotej do niejednolitej sytuacji. Ale kilka lat wcześniej, gdy pieniądź obiegowy był marką na giełdzie lódzkiej rozprawy się sceny gwałtowne. Półna Dantego...

Marka polska hodaga od stycznia 1920 r. średnim obrotowym początkowo trzymała się jako tako, dolar notowano nie więcej niż 120 mkp. Jednakże podbiegać się krzyższ szybko, wstrząsnął naszym pieniądzem. Rozszalała się nie notowana w dotychczas kraju inflacja. Marka spadała na lech i na szwie. W grudniu 1922 r. dolar kosztował już 17.850 mkp. Mennica nie poddała się, doprowadziła banknotów. Wymuszano coraz większe nominale. W listopadzie 1923 r. pojawiły się banknoty o wartości 5 i 10 milionów marek, a w miesiąc później za jednego dolara płacono 6.400.000 marek!

I właśnie wtedy sala giełdy lódzkiej przypominała dom wariatów w czasie pożaru. Kursy walut skakały jak opętane z godziny na godzinę, z minut na minutę, ludzie skakali sobie do oczu. Krzyżowały się urwane okrzyki w różnych językach. Maklerzy nie nadawali wynisywać liczb na tablicy. Banknoty orzeźbiływały się między sprawnymi palcami. Co chwila ktoś wybiegał z sali i pedził do najbliższego telefonu, by zdać swym modocudom relacje z ostatniej chwili.

— Kupić!
— Sprzedać! — padały polecenia.
Przez emachem uwijali się pokatni handlarze walut. Co za ekolarzenie: konie na górę, konie! na dół! Ale inaczej niż dziś wydawały te przedwojenne „konie”. Na głowach dzieciaki i jarmulki, zamiast obcisłych dzinsów marki „Lee” — sztuczkowe spodnie, płaszcze do kostek, jedwabiste chatały.
Uwijał się taki koch przed budynkiem i mrucał:
— Sprzedaję, sprzedaję, sprzedaję...
— Po ile? — dopadał go przechodzień.
— Po osiem, po osiem...
— Co po osiem?
— A co po ile?

A po zamknięciu giełdy interesanci wysypywali się na ulicę, obcicali tużurki, sorwdali godzinie według zegara nad bramą fotwór po nim zostali i zadowoleni z dokonanych transakcji wstępowali do mieszczącego się w tym samym domu sklepu kolonialnego Braci Ienatowicz (dzisiaj rezydują tu Delikatesy). Wystawy nęciły żółtozielonymi ananasami, wiązankami bananów, bateriami francuskich koniaków i win z całego świata.

Wszyscy byli wtedy milionerami, nawet ci najubożsi. Najskromniejsze budżety rodzinne zamykały się wielomilionowymi kwotami. Tylko, że za te miliony mało co można było kupić. Bo cenv obowiązywał na dziesiątki setki milionów. Bilet tramwajowy w jedną stronę kosztował chyba 350 tysięcy. Moja teściowa odkładała na przyszłość zimowy ale za każdym razem, gdy zbierała potrzebną sumę, okazywało się, że do kupna brakuje jej już tam milionów, bo o tyle niasz zdołał od ostatniej wypłaty w fabryce. Galopująca drożyzna spowodowała, że zarobki wypłacano trzy, cztery razy w miesiącu.

Trwało to tak do lipca 1924 r., kiedy marka przestała być środkiem płatniczym. Bank Polski wprowadził walutę złotową. Tutaj ciekawostka: polska jednostka monetarna miał być lech, wydano już dekret w tej sprawie, jednak Sejm dekret uchylili i do obiegu wprowadzono złoty. Relacje zdeprecjonowanej marki do nowej waluty ustalono na 1.800.000 mkp. = 1 złoty. Kurs dolara ukształtował się na poziomie zł 518. Potem znowu nastąpiło załamanie gospodarcze w przemyśle, handlu, rolnictwie i dolar przekroczył barierę 10 zł. Dopiero w 1927 r. po ponownej poprawie złoty ustabilizował się; do wojny kurs dolara wahał się w granicach dziewięciu złotych.

Dawna sala giełdy lódzkiej nie od razu przybrała dzisiejszy wykład i charakter. Jakim celom służyła w latach wojennych — mogę tylko snuć domysły. Swastyki na ścianach, portret Hitlera, zebrania, uczestnicy wyrzucający przed siebie ręce i gromkim „heil” nagrażali mówców, sławiących potęgę III Rzeszy, naród übermenschów i rasistowską doktrynę Blut und Boden...

Pa wyzwoleniu w hylei sali giełdowej urządzono świetlicę dla dziennikarzy i pracowników administracji. Przeważnie świeciła pustkami, chyba że ktoś wpadł na party ping ponga. Dziennikarze zbierali się na dole w kawiarence „Fraszka”. Najczęściej przesiadywali tu spikowcy: Stanisław Jerzy Lec, Leon Pasternak, Jerzy Zaruba, Eryk Liniski, Zbigniew Mitner... Redakcja „Szpilek” przycupnęła skromnie w dwóch pokojkach na czwartym piętrze byłego pałacu Siemens'a.

W latach pięćdziesiątych świetlica przekształciła się w Klub Dziennikarza. Obniżono sufit, fragment ściany wyłożono boazerią, zmniejszono oświetlenie, zaistalowano pianino i bufet (początkowo znajdował się na prawo od wejścia) urządzono szatnię. Z dawnego wystroju pozostały cztery wspierające sufit kolumny obudowane zabelowanymi listwami z drewna.

I sala znowu zakinała życiem. Stala się miejscem spotkań twórczych, dyskusji, wymiany poglądów, występów artystycznych, pokazów filmowych. Poza dziennikarzami schodzili tu literaci, aktorzy, ludzie nauki. Przyjeżdżali goście z kraju i zagranicy.

Centralną postacią Klubu i jego animatorem był (to straszne, coraz częściej muszę pisać o moich kolegach w czasie przeszłym) Zbyszek Skibicki. Jako dziennikarz miał dwie specjalno-

ści: sprawy miejskie i sport. Pasjonował się... organizowaniem najrozszybszych imprez. Nikt mu w tym nie dorobił do pięć. Zaden tradycyjny Bal Prasy nie mógł się odbyć bez jego doświadczenia. Wszystko grało jak w zegarku. Dzięki inwencji, energii i przedsiębiorczości „byszka po każdym takim balu kasa organizacji dziennikarskiej wzbogacała się o pokaźne wpływy.

Był też chodzącym... rozkładem jazdy na kolejach. Obudzony w nocy podałby bezbłędnie, z pamięci, godziny i minuty odjazdu czy przyjazdu pociągów na najbardziej skomplikowanych trasach. Nie istniały dlań rzeczy niemożliwe. Droga telefonicznej perswazji zatrzymał kiedyś o kilka minut pociąg na stacji rozjazdowej, żeby ktoś jadący za granicę zdążył się przesiąść.

ADAM OCHOCKI

W tej samej sali...

Lubiłmy go, mimo iż język miał niewyparzony. Folgował sobie zwłaszcza przy brydżu gromiąc bezlitośnie partnerów za błędy w licytacji i rozgrywce. A jego apetyt! Złoczył się raz, że zje na jednym posiedzeniu trzy golonki po ministerku, jakiś befszyk czy rumszyk, do tego zakąski. Wygrał Niedowiarek zapłacił rachunek, po czym Zbyszek podszedł do bufetu i na deser spalał dwa bezy z kremem. „To już na moje konto” — uspokoił bliskiego omdlenia partnera.

Często odwiedzał nasz Klub (teraz przychodził rzadziej, metryka do uczu) Konstanty Mackiewicz, artysta malarz autor ponad tysiąca obrazów i trzystu projektów scenograficznych, najdawniejszy ze wszystkich byłalców. Bon moty i żarty pana Kostli obrosły w legendę. O kilku wspomina Jerzy Wilmański w swej uroczej książce pt. „Rzeczy dziwne i ciekawe”:

„Przed laty, gdy w malarstwie panował sztywny schematyzm, pan Konstanty posłał na wystawę obraz. Piękne wnętrze jesionego lasu, po mistrzowsku rozłożone tony i policenie — obraz odróżniał się zdecydowanie od sztamponowych malowideł tamtej epoki. Na uwagę komisji, że obraz pokazuje las — ale nie pokazuje ludej pracy, pan Konstanty wziął pędzel i dwoma ruchami u dołu pejzażu domalował dwie małe ludejki śledzące sylwetki i powiedział: „Teraz obraz nazywa się „Wyrób lasu w PGR”.

Na inną wystawę pod hasłem „Człowiek” pan Konstanty wysłał obraz: wnętrze pokoju, stół, otwarte okno i wiosenny ogród za oknem. „Gdzie człowiek?” — zapytała komisja. „Tam wyszedł na chwilę” — odparł artysta.

Zwrócono się do Konstantego Mackiewicza o ofiarowanie obrazu na jakiś zbrojny cel. Pan Konstanty zapytał: „Jakże to tak? Artysta jest człowiekiem pracy i czemu efekty tej pracy ma ofiarowywać?”. — „Mistrzu” — odparł nagabujący — pieniądze na obraz nie mamy, ale przecież wszystko jedno, idziemy wszak do komunizmu”. — „Do komunizmu?” — zdziwił się pan Konstanty — z moim obrazem, ale bez pieniędzy?”

Złożyłem panu Konstantemu wizytę w jego pracowni przy ul. Tuwima. Będąc w Australii poznałem Stanisława Zarzeckiego, właściciela firmy „Contal” w Melbourne, prowadzącej z Polski książki, czasopisma, płyty, filmy. Jego żona, Rosjanka, zażywała sobie obrazu, który by w skwarnej Australii przypominał zimowy krajobraz ojczysty.

— Mistrzu, to dla Rosjanki, może jakaś „Hajda, trojka” na te śnieżyste tajgi?

— Panie, jak długo żyję, jeszcze żadnego konia nie namalowałem. Nie potrafię i już. Ale zima może być...

I w kilkanaście dni później „duszoszczepielny” obraz — las, drzewa z galeziami uginającymi się pod ciężarem śnieżnych czap, koleiny po przejeżdżających saniach — poleciał na antypody.

Tak nawiasem: jeszcze jeden mistrz pędzla zdomowił się w naszym klubie. Na głowę poblił pana Kostli, jeśli chodzi o pokrycie farbą powierzchnie. Wraz z pracowitą brzydzą poromi-

ków wymalował wszystkie ściany i sufity w całym gmachu — i to nie raz. Złociliwi mówią, że gdy remont kończy w ostatnim pomieszczeniu, wraca do pierwszego i zaczyna od nowa, ale to nieprawda, bo robotę wykonuje solidnie i terminowo.

Przez długie lata przesiadywała tu dookoła stolika Alina Grabowska Opuszczyńska, redaktorka „Głosu Robotniczego”, wymigawała wraz z mężem Polakiem do Izraela. Nawiązała kontakty z paryską „Kulturą” i przekonałszy się, że jak dobrze można zarobić na szkolaniu Polaków, skorygowała plany życiowe. Postanowiła zmienić Hajfę na Monachium. Władze izraelskie sprzeciwiły się. „Jak to? Daliśmy pani pożyczkę, mieszkanie, sfinansowaliśmy przyjazd do ojczyzny!”, Izrael to nie moja ojczyzna. Nie jestem Żydówką” — oświadczyła. Sprowadziła z Polski świadectwo chrztu, nawiązała współpracę z amerykańskim wywiadem i osiadła w monachijskiej rozgłośni radiowej „Wolna Europa”. Już dziesięć lat owa dama od specjalnych poruszeń z pianą na ustach opluwała i zohydza Polskę za amerykańskie CIA-cki. Eteryczny (z powodu fale eteru) Alince dziennie sekunduje jej mąż Leszek Pertkiewicz vel Perth. Dobrana para, pragnąc wykaazać się lojalnością wobec amerykańskich pracodawców, zdobyła się na niezwykły, nawet w tych sferach, wyczyn. Głośno było o tym swego czasu, nie zaważył przypominieć tej aferę.

Grabowska i jej mąż zaprosili do siebie do Monachium szwagra-brata, Hieronima Pertkiewicza, po czym zadecydowali go w policji RFN, oskarżając o działalność na rzecz polskiego wywiadu. Brat-szwagier przesiedział za bezdurno osiem miesięcy, a to wszystko dlatego, że namawiał brata do powrotu do Polski. Romantyczna Alinka nie mogła znieść myśli o samotności. I może to cna podrzuciła szwagrowi ów nie znaczący paperek z rozgłośni WE? Nie było na nim nawet napisu „Streng geheimnis”...

O czym można rozmawiać przy szklance herbaty? (z kawą bywało ostatnio kłopoty). Ano o sprawach zawodowych przede wszystkim. Tym się żyje i z tego się żyje. „Czytałość”? „Mam większą kombe zobaczysz jutro”. „Posłuchaj stary, jak byś to ujął?” Rozpalają się twarze, słowom towarzyszy coraz żywsza gestykulacja, ze ścian i spod sufitu emanują zasklepienie przed pół wiekiem namietności. Ozywa giełda... Informacji. Iż to szlagierów było w klubie tomatem powszechnych rozmów!

Przez szereg miesięcy emocjonowałem się jak inni rewelacjami „Głosu Robotniczego”. Reporter Henryk Sroczyński zdobył bulwersującą wiadomość: we wsi Konewka koło Spawy jest ufortyfikowany bunkier Göring! Ludzie do których dotarli, opowiedzieli o tajemniczych misteriach w czasie wojny. Porągli-widma przejeżdżały nocą wydrążonym tunelem, każdy taki zestaw zapadał się pod ziemię, właśnie tam, gdzie Herman Göring miał wybudować sobie zamaskowany schron. Schron wraz z tunelem z rozkazu marszałka III Rzeszy został zatopiony, gdy Armia Radziecka zajęła najbliższą okolicę.

Wiadomość „Głosu” przedrukowała „Wieczerna Moskwa”. Radziecki młynier przysłał do Polski projekt odnowienia terenu. Zawiązał się sztab amatorów, na własną rękę podjęli badania. Szukiwano węgnow, zatrudnionych przy budowie bunkra. Zaden nie ocalał. Stwierdzono, że w czasie wojny AK zainteresowała się tą sprawą Grupa kobiet z organizacji, która ponoć zebrała jakieś informacje, ale i po pół zaginał wszelki ślad.

Rewelacje drukowane w „Głosie” w 70 reportażach obiegły prasę światową. Do Spawy przyjeżdżali korespondenci zagraniczni. Amerykański „Quick” zamieścił wywiad z adiutantem Göringa, generałem Boedenschafem. Potwierdził, że marszałek miał swój sztab w Spale, na temat bunkra nie chciał się wypowiedzieć.

Do Konewki skierowano wojskowe ekipy specjalistów. Niestety, usunięcie wody z zalanego bunkra okazało się niewykonalne. Jestem jednak przekonany, że tajemnica sprzed czterdziestu lat wydarła zostanie kiedyś podziemiom. Na razie Sroczyński zgromadził się sprawami przyziemnymi. Chociaż doktorat złożył z geografii ekonomicznej, pióro poświęcił zagadnieniom międzynarodowym. Jako wysłannik „Głosu” odwiedził Stany Zjednoczone, dwa razy Kubę i 17 państw Afryki, skąd napisał mnóstwo reportaży.

Zaimponował mi też Piotr Goszczyński. I o jego eskapadach gęsto rozprawiał w klubie. Sprytnie zorganizował wyprawę statkiem do Ameryki Południowej. Najpierw powiedział armatorowi, że redakcja zleca mu napisanie cyklu reportaży sławących polską żeglugę morską, a uzyskawszy zgodę na bezpłatną podróż spytał redaktora Mojkowski o czy reflektuje na senze: nie materiały z Brazylii, Urugwaju, Argentyny i Chile, bo... zaokrętowne na M/S „Hugo Koliataj” już zalał.

Długo Piotruś zbijał kokosy z tej rasy. Napisał o niej nawet do „Piomyzka”, a odczyty o dalekich ładach wygłaszał latami. Zachęcony sukcesem w podobny sposób odbył jeszcze kilka wypraw morskich: do Grenlandii statkiem rybackim, na Morze Północne statkiem ratowniczym „Neptun”, opłynął basen Morza Śródziemnego.

Gdy w 1959 r. nasi saperzy rozminowywali główną kwatere Hitlera pod Kętrzyńem, Goszczyński i dwaj reporterzy — z „Dziennika Łódzkiego” i „Expressu Ilustrowanego” — udali się tam po materiał. Szczegół nie bez znaczenia — samochodem Piotrusia. Na miejscu uzgodnili: tego samego dnia, w środę, zamieszczą swe rewelacje w macierzystych gazetach. Ale kolega z „Expressu” zrobił psikusa i swój tekst pchnął już we wtorek.

Po paru dniach Piotr wpadł do bufetu Delegatury, gdzie o tej porze zbierali się dziennikarze z wszystkich redakcji.

— Pani Helenko — zwrócił do bufetowej — dwa kilo pomarańcz, dwie tabliczki czekolady! Ale na jednej nóżce, jadę w daleką drogę!

Stojący obok reporter „Expressu”, ten sam co zlamal porzućmienie kętrzyńskie, nadstawił uszu. A gdy Piotr skierował się ku wyjściu, podreptał za nim.

— Dokąd jedziecie, kolego? Jakaś bomba?

— Pary z ust nie puszcza. Już raz nabraliście mnie.

— Słowo honoru, będę milezał jak grób...

— No to zaryzykuj. Tylko nikomu ani mru-mru. Do Cęgni zawiązaj z kurtuazyjną wizytą okręty VIII floty amerykańskiej. Jadę tam. Ale pamiętajcie...

Tegoż wieczora Piotruś z nie tajoną satysfakcją, z ukrycia, obserwowal na Dworcu Kaliskim reportera „Expressu” wsiadającego do gdyńskiego pociągu w nasuniętej konspiracyjnie na czolo czapkę, z podniesionym kołnierzem płaszcza...

Piętę dopisało życie: naczelny „Expressu” najpierw zbessał swego pracownia, że dał się podejść jak dziecko, potem kategorycznie odmówił zgody na... rozliczenie delegacji służbowej.

Po powrocie z Kosmosu Jurij Gagarin złożył wizytę w Polsce. W Zielonej Górze miał spotkanie z młodzieżą. Tylko dwaj dziennikarze z PAP i jeden z Tv dostąpili zaszczytu towarzyszenia mu. Piotruś też się zjawił w sali biesiadnej. Zabrał z Łodzi smok, białą koszulę z wykrechmalonym gorsem i muszkę. Za pięć stów szef kuchni pozwolił mu przedziergnąć się w kelnera. Wazy z zupą nie zaryzykował mu dać, w obawie, żeby nie rozlał jej gościom na głowy. Na tacy, którą Piotruś wniósł dumnie do sali, spoczywał bażant przybrany tradycyjnie piórami. Przy stole obok Gagarina siedzieli ówczesny wicepremier Jaroszewicz i marszałek Sychalski. Gdy wznieśli pierwszy toast na zdrowie kosmonauty, Piotruś zagadnął go:

— Jak wy sieba czusztujecie na ziemi pośle polifota?

Dalsza konsolacja nie miała sensu. Piotruś przedstawił się kim jest i zrobił wywiad z Gagarinem. Powtórzył trick naszego przedwojennego reportera „Republiki”. Henryka Pessiermana, który w podobny sposób, w kłtu pikolaka, dotarł na Dworcu Kaliskim do salonki, wiozącej komisarza ludowego ZSRR, Czerwina. Ale Piotruś o tym nie wiedział, mój pierwszy tom „Reportera przed konfesionatem” gdzie opisuję to zdarzenie, jeszcze się nie ukazał, zaś Gagarin wyczyn Goszczyńskiego uwiecznił w swojej książce wspomnieniowej.

Pierre de Goscze — jak nazywał go redaktor Mojkowski — podpadł kiedyś szefowi i za karę odprawiono go ciupasem do Wieruszowa.

— Masz pojęcie, jak mi tam było dobrze? — zwierzył mi się po powrocie. — Codziennie kilka odczytów w Lidze Kobiet, Samopomocy Chłopskiej. Za każdy leciało po pięć stów.

Piotruś dokonał wycyznu, na jaki nikt z nas by się nie zdołał. Chęć sprawdzić jak daleko sięgała miłosierdzie i naiwność ludzka, nadział na siebie łąchmany i z kapeluszem w ręku kłęzał



Rys. Janusz Szymański-Głanc

kilka godzin przed budynkiem redakcyjnym. Po pracowitym dniu obliczył zawartość kapelusza: „zarobił” więcej niż przez kilka dni pracy w redakcji, plus odczyty.

Nie tedy dziwnego, że ten reporter z prawdziwego zdarzenia dostąpił nie lada zaszczytu: powiedziałem mu, że gdyby pozwolono mi wydawać prywatną popołudniówkę, zaangażowałbym go z miejsca i grałyby w niej pierwsze skrzypce. Oczywiście... po mnie.

Ja też stałem się tematem powszechnych rozmów. Z ogłoszenia w gazecie dowiedziałem się, że w Białej pod Zgierzem jest do nabycia „Simca 1100”. Pojechałem tam z Tadeuszem Mankiewiczem, naszym mechanikiem samochodowym. Właścicielem zaofiarowanej do sprzedaży „Simki” okazał się miejscowy proboszcz. Książę uparcie obstawał przy swojej cenie, ja również nie chciałem odstąpić od mojej. Licytacja przeciągała się w nieskończoność, aż zniecierpliwiony Tadeusz zawołał:

— Słowo daję, ksiądz dobrodziej targuje się jak stary Żyd! Na co ja obrażonym tonem:

— Przepraszam, to ja się targuję jak stary ksiądz! Ubawiony ojczulek opuścił z miejsca kilka tysięcy. A potem poszła gadka w całym gmachu, że Ochocki za nabyty od księdza samochód tylko częściowo zapłacił gotówką, za resztę zobowiązał się pisać mu na każdą niedzielę kazania...

Puszczaliśmy często wodzę pamięci. Wspominaliśmy dawnych kolegów, pikantne historyjki z zamierzających czasów. Zdarzały się w każdym środowisku, czemu my mielibyśmy pozostawać na uboczu?

Pewien kolega, tuż po wojnie, jako argumentu dla poparcia swych racji używał... pistoletu. Kładąc go przed sobą lub chwytając się wymownym gestem za tylną kieszeń, przestrzegał:

— Pamiętajcie, tym co nie będą po naszej myśli, nie poskapiemy porcji otowiu.

Nie mogłem wyjść z podziwu jak ten mój kolega szkolny z gimnazjum im. ks. Skorupki się zmienił! I kto by pomyślał, że z tego wiecznie zastrachanego chłopca, ustępującego każdemu z drogi, wyrosnie taki giero. Przeniesiony na rubież Polski zostawił po sobie jeszcze większą plamę: cały personel redakcyjny na znak protestu przeciw jego metodom pracy i traktowaniu szefu mu na biurku legitymację.

Innego zgubił temperament... bynajmniej nie dziennikarski. Zapalał afektami do sekretarki redakcyjnej. Ta nie odwzajemniała jego uczuć. Kolega postawił sprawę jasno: albo połączymy się tymczasowo, albo rozłączymy na stałe. Wobec takiego ultimatum dziennikarz ustąpił. Zaprosiła koleżkę do mieszkania. Gdy ten przystąpił do realizacji małego ambimyjnego planu, rozwarł się drzwi szafy, z której wyszły dwaj smutni, znudzeni długą wartą panowie. Skończyło się tak, jak powinno: niefortunny kochał rozstał się z dziewczyną i redakcją, a ja — jak to ja — uczciłem to wydarzenie frażką:

Przyjaciel nasz wielkiej
dopuścił się gaffy,
przed całym tete-à-tete
nie zajął do szafy.

Nazajutrz pojechałem do Warszawy. Ledwo przystąpiłem próg „Spilke”, który z kolegów zarecytował mój epigram. I kto śmie twierdzić, że kultura nie rozprzestrzenia się u nas szybko?

Dalszych losów byłego kolegi nie znam. Podobno przegadał na pozostawia u niego trwały uraz. Gdy składa wizyty, nawet partnerem od brydża, zanim usiadzie przy stoliku, otwiera nie tylko szafę, ale i drzwi do łazienki.

Drzwi w moim życiu też odegrały niepoślednią rolę. Właściwie dwoje drzwi: jedno wiodące z sali klubu na korytarz redakcji „Karuzeli”, drugie — do pokoju, w którym za biurkiem redakcyjnym przesiedziałem 17 lat. Przez te pierwsze miałem urwanie głowy cały rok, dzień po dniu, na okragło. Szef kazał zainstalować dzwonek przy wejściu do redakcji od klatki schodowej. Każdy, zanim się znalazł w naszym pomieszczeniu, musiał nacisnąć guziczek, a sekretarka lub gonić oddzwaniła i dopiero wtedy automat otwierał wrota. Do „Karuzeli” rzadko kto przychodził, natomiast nieprzerwanym korowodem przechodził koledy, woźne i gońcy z „Expressu”, „Głosu”, „Ogłoszeń”, i Delegatów, bo wtedy bliżej do bufetu klubowego: oszczędzało się drałowania po piętrach i przez sień bramową. A kiedy gonić jechał do drukarni, sekretarka zaś tkwiła w stołówce, musiałem co chwila biegać do jej pokoju i naciskać.

Drugie drzwi, zawsze zamknięte na siedem spustów, otwierano na oścież w wieczór Sylwestrowy, aby jak najwięcej gości mogło powitać Nowy Rok. Bawili się dziennikarze, pracownicy administracji, przybysze z miasta. Tylko mnie było nie do śmiechu. Bo co zastawiałem po przyjęciu do pracy? Wyniesione do szefa meble (gabinet nie brał udziału w zabawie) rzadko kiedy wracali na właściwe miejsce. Podobnie jak książki, segregatory i tecki z tekstami, które przed tym trzesieniem ziemi po omacku mogłem wyjmować. Powietrze w tym pokoju tak było przesycone oparami alkoholu, że na papierosa przezornie siedziałem do WC. W nawilżaczach kamionkowych niedopałki papierosów i resztki nie dojeżdżonych potraw. Na ich podstawie i z zapachów bezbłędnie ustalałem menu sylwestrowego stołu. Jak ów kelner ze starego dowcipu.

— Panie starszy, płać! — Już się robi. Więc tak... (na widok świeżej, czerwonej plamy na obrusie) barszczyk czerwony z uszkami, zioły pięćdziesiąt... Aha (oś ryby w solniczce), karpik po żydowsku, dwa dziesięć, (ogryzioną kostką na podłodze), kura z rosółu, dwa pięćdziesiąt... To wszystko?

— Tak... — oznajmił gość. — Przepraszam, jeszcze cebulka z siekąną wątróbką. Zioły dziesięć.

Sala klubu, gdy jeszcze była świetlica, wykorzystywano (od czasu do czasu) na widowiska parodystyczne. Bo jak inaczej nazwać owe sławne środowiskowe zebrania sprawozdawczo-wyborcze? Nie zdążył przewodniczący spytać czy są jakieś kandydatury, a już kolega (zawsze ten sam!) wyciągał karteluszek z butonierki i odczytywał nazwiska. Kto jest za? Las rak unosił się do góry. Kto przeciw? Kto się wstrzymał? Cisza jak makiem zasiał. Przypominało mi to usypianie węzów, nieruchomejących pod hipnotycznym wzrokiem zaklinacza. A jak jest teraz? Hui! dusza! Skreślasz tych co ci nie odpowiadają, nawet jeśli sąsiad zapuszcza żurawia przez ramię. Słowem: „A niechaj narodowie wżdy postronni znają, że Polacy nie gesi, iż swój głos już mają!”

Skoro zaś o drobiu, to jeszcze — „Kaczka”. Wyglęła się w naszym klubie i poczyniła sobie wcale nieźle. Ogłoszenie TKKF „Kaczka” umiła czas dziennikarzem. Organizuje zawody w siatkówkę, koszykówkę, zachęca do modnego aerobiku, zaprasza na pływalnię, a dla miłośników szachów urządza międzynarodowe turnieje. Tutaj dzielnie się krząta mój przyjaciel Stasio Gromiec, ale choć tegi zeń szachista, jeszcze nigdy nie dał mi mata, bo w szachy nie gram.

Po mile spędzonym czasie dziennikarstwa, podobnie jak przedwojenni bawili tej sali, wysypują się na ulicę obciążeni okrycia... ustawiają się w tasemkowej kolejce do „Delikatessów” po paczkę herbaty „Popularnej”. Gdyby pan Ignatowicz mógł zobaczyć te tłumy przed swym dawnym sklepem, zatarłby ręce z zadowolenia...

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku drugiego tomu „Książki pt. „Reporter przed konfesyjonałem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę”.

Brakujące ogniwo ewolucji?

W Afryce Wschodniej, od Morza Czerwonego aż po Mozambik, ciągnie się przez 4 tys. kilometrów długa i głęboka bruzda, wyrwana w ziemi przez potężną siłę. Paleontologom jest ona znana pod angielską nazwą Rift Valley. Na jej stokach żyli niegdyś nasi najdalsi przodkowie. Być może tam właśnie powstał człowiek jako odrębny gatunek biologiczny. Jak wiadomo, człowiek — wbrew potocznie mu określeniu — nie pochodzi od małpy. Jednakże współczesny Homo sapiens, czyli człowiek rozumny ma wspólnego przodka z dzisiejszymi gorylami i szympanzami. Od czasu, gdy Darwin sformułował swą teorię ewolucji, nieustannie na wszystkich kontynentach trwa poszukiwanie śladów tego najdalszego przodka oraz jego potomków.

Paleontolog — ci badacze, którzy odczytują nasz rodowód z wykopaliś — zwrócili się ostatecznie ku afrykańskiej Rift Valley, gdzie z biegiem czasu znaleziono najcenniejsze fragmenty lamigłówek, co spowodowało przewrót w dotychczasowej wiedzy: w ciągu 10 lat o trzy czwarte swego czasu trwania wydłużyła się prehistoria. Człowiek postarzał się o trzy miliony lat; australopitek, będący równocześnie i kuzynem, i przodkiem człowieka — o pięć milionów lat. Co do wspólnego przodka, to wprawdzie ciągle jeszcze jest nieznany, ale na pewno odmłodniał.

W ciągu 2 ostatnich lat tempo poszukiwań jeszcze się wzmożło. Nasze drzewo genealogiczne doznało licznych wstrząsów i przemian. Nadal niezbývá dobre wiadomości, gdzie umieścić jego dwa podstawowe rozgałęzienia: pojawienie się człowiekowatych (w tym australopiteków, które różnią się od małp) i człowieka (istoty ludzkiej w całym tego słowa znaczeniu, która oddala się na zawsze od swych człowiekowatych przodków), ale większość badaczy jest zdania, że to dwa wielkie podziały musiały się rozegrać na scenie afrykańskiej. Oparając się na paleoklimatologii (badania rzyńskich klimatów), Francuz, Yves Coppens, dorzucił niedawno nową cegiełkę. W swej książce, zatytułowanej „Małpa, Afryka i człowiek”, głosi on tezę, że rodzaj ludzki wywodzi się z unikalnego gatunku, który żył na terenie dzisiejszej Rift Valley, i że rodzaj ten pojawił się właśnie dlatego, iż w tym miejscu ziemia się rozpekła.

Coppens nie przedstawia w tym dziełku nowych odkryć, lecz daje syntezę dotychczasowej wiedzy, ukazując długą drogę od małpy do człowieka niemal jak prosty i zwyczajny spacer. Jednakże postawiona przez niego teza jest ambitna: śmiało podejmuje próbę wyjaśnienia, gdzie i jak pojawił się po raz pierwszy człowiek, szukając tego wyjaśnienia w geologii oraz wykopaliś Rift Valley.

Dzielo to rozpoczyna Louis Leakey przed dwudziestoma z górą laty. Ten słynny brytyjski paleontolog wykopał w Fort Ternan w Kenii niezwykłą szkielet — pół antropoidalny, pół ludzki. Uznano, że należy on do ramapiteka, którego szkielet sprzed kilku milionów lat zostały już wcześniej odkryte w Indiach i zaklasyfikowane wówczas jako szkielet najstarszego z człowiekowatych. Później Leakeyowie, którzy prowadzili poszukiwania w Rift Valley całą rodziną, odkryli w Tanzanii czaszkę sinantropusa zaliczonego do australopiteków.

W 1961 r. na scenę wkracza Yves Coppens. Ma wówczas 26 lat i również grzebie się w ziemi afrykańskiej, w Czadzie, poszukując zresztą szkieletów... słoni. Przypadek sprawił, że wykopał czaszkę, która w jego dzisiejszych zbiorach nosi nr.1. Została ona sklasyfikowana jako homo erectus, którego nazwano czadantropusem. Tego samego roku Leakey dokonał w Rift Valley dalszego odkrycia: znalazł czaszkę homo habilis — „człowieka zręcznego”, pierwszego tego rodzaju. Obok tej czaszki znaleziono narzędzia, które zapewne wyrobił „spod ręki” owego człowieka. Najbardziej zdumiewające było jednak wiek, na jaki oszacowano to znalezisko: 1.750.000 lat. Datą uznawano, że rodzaj ludzki nie liczy sobie więcej, niż milion lat, i

oto nagle postarzał się aż tak bardzo!

Do Afryki, uważanej dotychczas za nazbyt barbarzyńską, aby stąd mógł się wywodzić nasz wspaniały ród, napłynęła wówczas cała chmara różnorodnych specjalistów. Rift Valley to prawdziwy raj: w wąwozach Olduwan (Tanzania) np. osady, które gromadziły się przez 2 mln lat, wznosiły się na wysokość zaledwie 100 metrów. Na stokach tych wąwozów można odczytywać przeszłość niemal jak z książki: jedna warstwa — jedna epoka. Wystarczy tylko odwracać karty.

Wówczas to właśnie Louis Leakey został przedstawiony cesarzowej Etiopii, Hajle Selasjemu. Z pewnym odcieniem zawiści cesarz zapytał: „Dlaczego właściwie kopiecie w Kenii, a nie w Etiopii?” Leakey podjął rzucone wyzwanie, zorganizował wielką ekspedycję, w której uczestniczyli też Yves Coppens i Camille Arambourg. Ten ostatni już od 1930 roku badał ziemie etiopskie, koncentrując się zwłaszcza na dolinie noszącej nazwę Omo, która również wchodzi w skład Rift Valley. W latach 1967-1976 zebrano tam ponad 300 fragmentów kości, zaklasyfikowanych jako szkielety australopiteka i homo.

W tym samym czasie inny badacz francuski, geolog, Maurice Taieb prowadził wykopaliska kilkaset kilometrów dalej, w łozysku dawnego jeziora, usytuowanego w Hadar, w samym sercu etiopskiej pustyni Afarów. Łozysko jeziora wypełnione jest osadami. Chcąc sprawdzić ich datowanie, geolog wysłał do Coppensa kilka znalezionych tam zębów trzonowych słonia. I Coppens, i Leakey potwierdzają zgodnie: osady datują się sprzed 3-4 milionów lat. Jak wspomina Taieb, w owych czasach poszukiwanie śladów człowiekowatych w warstwach sprzed 4 milionów lat było wyzwaniem rzuconym nauce. W 1972 roku na teren Afarów przybyła wielka międzynarodowa ekspedycja, zorganizowana przez Taieba. Uczestniczą w niej Coppens i Amerykanin — Donald Johanson. Wyprawa ta dokonała przewrotu w paleontologii. Wykonano tam kości kolanowe istoty człowiekowatej sprzed 3 mln lat. Staw uformowany jest pod kątem charakterystycznym dla stworzeń dwunożnych!

Później była Lucy — najprawdziwsza gwiazda w lańcuchu naszych przodków. Ta kobieta-australopitek, która zmarła wskutek utonięcia w wieku 20 lat, ofiarowała nam znaczną część swego szkieletu, najkompletniejszego, jaki kiedykolwiek został znaleziony. Miała ona małątkę czaszkę, była niewielkiego wzrostu, ale bez najmniejszej wątpliwości potrafiła chodzić na dwóch nogach. Okazało się, że dwunożność to cecha wcześniejsza, niż powiększenie się mózgu. Kimże więc była ta zachwycająca osoba? Przodkinią pierwszych ludzi, czy też tylko ich kuzynka z linii, która miała później zniknąć? Do dziś snór ten nie został rozstrzygnięty.

W 1975 roku, na pustyni afaryjskiej odkopano szkielet całej rodziny: mężczyzn, kobiet i dzieci, o cechach ani całkowicie małpich, ani całkowicie ludzkich. Dalej było jeszcze mnóstwo wykopaliś i znalezisk, które przebiegała Rift Valley kolejno oddawała badaczom. W Hadarze, Omo, Laetoli, Olduwan i innych miejscach, które stały się sławne na całym świecie, zebrano w ciągu 10 lat ponad 2 tys. szkieletów istot człowiekowatych (tyle, ile ich zebrano przez 100 poprzednich lat) oraz jakieś 100 tys. szkieletów kregoczwów. Zostały one wszechstronnie zbadane, sklasyfikowane, poskładane, zrekonstruowane, przeanalizowane...

Czy należy obecnie uznać Rift Valley za jedyną kolebkę ludzkości, jak to sugeruje Yves Coppens? Odpowiedź potwierdzała zaczyna się dopiero rysować. Studiując skład białek i chromosomów, biolodzy odkryli niedawno, że nasze pokrewieństwo z małpami kuzynami jest znacznie bliższe, niż można by przypuszczać. 99 proc. spójności dziedzicznej człowieka i szympansa jest

najzupełniej identycznych! Tylko minimalna różnica genetyczna dzieli od siebie te dwa gatunki: 1 proc. decyduje o człowieczeństwie. Jest to najpóźniejszej rangi argument przemawiający za naszym wspólnym pochodzeniem. A czy szympansy nie są zwierzętami wyłącznie afrykańskimi?

Jednakże jest coś, co wydatnie się dementuje tę teorię. To ramapitek, nasz domniemany najstarszy przodek, którego szkielety znaleziono w Indiach, bardzo daleko od Rift Valley. Przed trzema laty biolodzy kalifornijscy po raz pierwszy zakwestionowali dotychczasową klasyfikację ramapiteka stwierdzając, że rodzina człowiekowatych wyodrębniła się od małp dopiero przed 5 milionami lat, nie zaś przed 20 milionami, jak zakładają paleontolodzy. Nie można więc uważać ramapiteka, który istniał przed 14 milionami lat, za przodka człowieka.

W ubiegłym roku obie strony sporu — paleontolodzy i biolodzy — zgodziły się na prawdziwie prehistoryczny kompromis: uczestnicy zgromadzenia, które odbyło się pod auspicjami Watykańskiej Akademii Nauk, doszli do wniosku, że oddzielenie się człowieka od rodziny wielkich małp nastąpiło nie wcześniej, niż 7-10 milionów lat temu (najnowsze studia ustalają, że człowiek i szympansa poszły odrębną drogą rozwoju przed 7,5 milionami lat). W ten sposób pożyliśmy się jednego domniemanego przodka: ramapiteka został odesłany do gałęzi drzewa genealogicznego, przeznaczonych naszym małpim kuzynom.

Niektórzy paleontolodzy wciąż jeszcze nie bardzo chcą się pogodzić z tą detronizacją, ale nowe badania wydają się ją potwierdzać: niedawno w Pakistanie i w Chinach wykopano najstarsze czaszki orangutana, które ujawniają zdumiewające podobieństwo ramapiteka do tego właśnie zwierzęcia. Możliwe więc, że orangutan jest potomkiem ramapiteka.

Jeżeli już wykluczy się tego intruza, to można stwierdzić, że najstarsze szkielety naszych najdawniejszych przodków — wszystkie zostały znalezione w okolicach Rift Valley. Stąd wniosek, jak utrzymuje Coppens, że człowiek pochodzi z kontynentu afrykańskiego i od afrykańskiej małpy. I tu właśnie ten paleontolog przedstawia zadziwiająca obserwację: wszystkie szkielety człowiekowatych zostały znalezione na wschód od brzozy Rift Valley, podczas gdy wszystkie wielkie małpy żyły na zachód od niej. Wśród setek tysięcy kości zebranych na wschodzie nie ma ani jednej, która mogłaby należeć do praszympansa czy pragrajla. Stąd już tylko krok do konkluzji, że przyczyną wyodrębnienia się człowieka ze wspólnego z małpą pnia stała się sama Rift Valley — owa wielka szczelina.

Yves Coppens przyjmuje ten właśnie wniosek i przedstawia następujący scenariusz ewolucji. Przed 70 milionami lat pierwsze naczelnie mnożyły się w gestych lasach i zaroślach Europy i Ameryki Północnej, które w owych czasach stanowiły jeden kontynent. Zgodnie z teorią Darwina, w procesie ewolucji następuje selekcja osobników, które najlepiej przystosowały się do nowych warunków środowiskowych. Tam, gdzie rozwijały się rośliny kwitnące, male naczelnie, niewiele większe od szurów, zajmują nową niszę ekologiczną: różnicują się od swych owadźszych przodków i chętnie żywią się owocami.

Mijały kolejne miliony lat i temperatura Ziemi stawała się coraz niższa. Zaczęły występować sezony klimatyczne. Lasy cofnęły się ku południowi. Wielkie małpy pojawiły się przed 35 milionami lat, m. in. w Fajum — obecnym Egipcie, pokrytym wówczas gęstym tropikalnym lasem. Przed jakimś 17 milionami lat nastąpił ważny element geologiczny: zetknięcie się ze sobą płyt kontynentalnych afro-arabskiej i azjatyckiej, wskutek czego morze Thetis, będące wcześniej łącznikiem między Oceanem Indyjskim a Morzem Śródziemnym, zostało zamknięte. Po tym „moście” małpy afrykańskie przewędrowały do Europy i Azji, gdzie niektóre spośród nich przeszły ewolucję, a w jej wyniku pojawił się ów osławiony ramapitek,

zaś później — orangutan. W tym samym czasie ich bracia, którzy pozostali w Afryce, przechodzili własne fazy ewolucyjne...

Dochodząc do tego stadium, dziejów, naukowcy natrafiają na lukę: nie mają do dyspozycji szkieletów kopalnych z okresu sprzed 10 mln lat, które stanowiłyby punkt odniesienia. Dopiero niedawno poszukiwacze japońscy znaleźli w Kenii pierwszą drobnostkę: potłótkę kości szczękowej. Epoka jest jednak decydująca, bowiem to właśnie w owym czasie Afryka wschodnia była zaludniona przez przodków wspólnych człowiekowi i małpom. Wtedy też właśnie, jak to podkreśla Coppens, ziemia rozpekła się w miejscu dzisiejszej Rift Valley. Przelom ten spowodował wzniesienie się warstw geologicznych od strony zachodniej. Ponieważ opady napływały głównie od tej strony, dalszym następstwem stały się zmiany klimatyczne. Na zachód od Rift Valley utrzymał się las, a ów daleki przodek nadal prowadził swe „podwójne życie” — częściowo na drzewach, częściowo na ziemi. Później przeobraził się on w goryla i szympansa.

Na wschód od Rift natomiast robi się coraz suchziej i las zanika. Nasz praprzodek, izolowany przełomem skorupy ziemskiej, musi się przystosować do sawanny, która pojawia się na tym terenie. Dalszy ciąg jest zgodny z ogólnie przyjętą teorią: w środowisku pozbawionym drzew, które dają schronienie, dwunożność jest pomocna w dostrzeganiu zarówno ofiar, jak przesładowców, nasz przodek wyprostowuje się więc, aby i lepiej widzieć. Zaczyna chodzić koryśnym krokiem, niosąc swe młode. Z czasem staje się stworzeniem prawdziwie dwunożnym, jego ręce uwalniają się, wynajdują narzędzia, jego mózg rośnie coraz bardziej...

Druga fala nacisku ekologicznego powoduje pojawienie się rodzaju homo: jakieś 2,2 mln lat temu sawanna afrykańska jeszcze bardziej się przersedza, pozostają już w niej właściwie tylko wysypki. W tym nieprzyjaznym środowisku u homo habilis kształtują się nowe typy zachowań: staje się bardziej uważny i bardziej uspołeczniony. Matka i dziecko dłużej pozostają razem. Poluje się wspólnie i dzieli się pożywienie. Homo oddala się ostatecznie od swych przodków i kuzynów australopiteków, które wkrótce znikają. Rodzą się — świadomość, uczucia, język...

Zdaniem Yvesa Coppensa, pierwszy człowiek posiadał już wiele cech takich samych, jakie ludzie mają obecnie. „Chodził na dwóch nogach — mówi uczony — był wszechstronny, dostosowywał się do okoliczności, uprawiał rzemiosło, był stworzeniem towarzyskim, sprytnym i ostryżnym, świadomym i rozmownym. Jego potomkowie — homo erectus i homo sapiens — będą ponadto zdobywcami: opanują Europę, Azję, świat...”

Coppens idzie jeszcze dalej: twierdzi, że trzy rodzaje homo to jeden i ten sam gatunek — po prostu trzy jego różne stadia morfologiczne. Jest to dość brutalny sposób połozenia kresu polemikom na temat identyfikacji wielu szkieletów kopalnych. „Czyż Coppens — nie jawi się jako gatunek jak najbardziej homogeniczny, jeśli wzięć pod uwagę przestrzenie, które zaludnia?” Ta rozsądna uwaga to dodatkowy punkt dla tezy o naszym pochodzeniu z jednego afrykańskiego pnia.

Paleoklimatologiczne wyjaśnienie sprawy przez Coppensa jak żadne inne odnacza się tym, że przedstawia nasze długie dzieje w sposób całkowicie spójny. Czy jednak jest ono trafne? Coppens zamierza poszukiwać dalszych szkieletów kopalnych, aby uzyskać dodatkowe argumenty. Jego teoria podoba się również geologom, którzy są zachwyceni myślą, że w sumie to właśnie Ziemia urodziła człowieka przy pomocy gigantycznego cesarskiego ciecica — Rift Valley.

[„L'EXPRESS”]

Zapis szósty

Wszystkich naukowców z XIII Laboratorium, dzielących ich różnie poglądów i osobistych animozji, łączyła wspólna pasja — paleoastrofizyka. Tajemnice piramid, zagadkowe reliefy Majów czy wizje proroków Starego Testamentu były stałym tematem zarówno przyjaźnielskich pogawędek, jak też poważnych dyskusji. O jedności w tej dziedzinie oczywiście nie mogło być mowy; praktycznie każdy naukowiec miał swoją własną teorię i tylko według kryterium podstawowych założeń można było wyodrębnić dwa przeciwstawne sobie obozy.

Do pierwszego należeli zwolennicy poglądu, że wszelkie zagadkowe znaleziska archeologiczne świadczące o wysokim poziomie wiedzy i techniki ich twórców są dowodem, iż w odległej przeszłości wyładowała na Ziemi międzygwiazdowa wyprawa, której uczestnicy albo sami wykonali te wspaniałe dzieła, albo prymitywni wówczas ludzie wykonali je na ich polecenie i pod ich kierunkiem. Hipoteza, że barbarzyńcy zamieszkujący „główny pas cywilizacji” — to znaczy od Indii poprzez Miedzyrzecze i basen Morza Śródziemnego aż po Amerykę Środkową i Wyspę Wielkanocną — pracowali pod kierunkiem kosmitów-bogów, miała wlewać zwolennikom, bo wyjaśniała jednocześnie nagły skok kulturowy tych ludów. Nie wykluczano przy tym, iż kosmici dokonali wówczas na niezbyt rozgarniętych istotach rodzaju Homo manipulacji genetycznych, aby „przyuczyć ich do pracy”.

Drugi oboz tworzyli apologeti rodzimego pochodzenia wysokiej cywilizacji, której centrum, w wyniku straszliwej katastrofy, pograżyło się w oceanicznych otchłaniach, a jej twórcy chroniąc się przed zagładą wyemigrowali w kosmos, a częściowo rozprzeczili się po świecie, dając początek panteonowi brodatych bogów przybitych zza morza. Z braku lepszego zajęcia uciekinierzy zajęli się przekształcaniem hord zbieraczy i myśliwych w plemiona rolnicze, które

miały namalowane napisy: „Fly by LOT”, ale nikomu to nie przeszkadzało.

Spośród członków rady naukowej tylko doktor Owsianko-Bezmogowa, ze względu na błogosławiony stan, nie wzięła udziału w ekspedycji. Fus próbował też wyperswadować wyprawę doktorowi Zużeli. Aby mu to jakoś osłodzić, mianował go nawet szefem laboratorium na czas swojej nieobecności, ale krzepki starszy nie chciał o tym słyszeć. W końcu, na ostre ultimatum dyrektora: albo pozostanie w domu, albo emerytura, Zużel pozornie pogodził się z losem, ale kiedy obladowani tobołkami członkowie ekspedycji wkroczyli po trapie na pokład statku, pierwszą osobą, jaką zobaczyli, był radośnie uśmiechnięty doktor. Cóż było robić? Fus machnął ręką i takim sposobem Zużel dołączył do wyprawy.

Rejs przez Atlantyk przebiegł raczej spokojnie. Ocean był pusty, jeśli nie liczyć stada rekinów, które od Wysp Azorskich uparcie podążały za rufą statku, co bardzo denerwowało Platinsteina. Pogoda zepsuła się dopiero u wybrzeży Puerto Rico. Z gładkiej powierzchni wody podniosły się gęste żółte opary, aparatura nawigacji satelitarnej oszalała — według jej wskazań statek płynął kanionem rzeki Kolorado — radiostacja z niewiadomych przyczyn umilkła. Kapitan nakazał kurs na południowy zachód licząc, że jakoś przemyknie się przez cieśninę Mona, ale żyroskopas też chyba nie był w porządku, bo po trzech dniach omal nie wyładowali na plaży w pobliżu Jacksonville. Ale była to jedyna przygoda. Dalej już bez przeszkód opłyneli Kuby, pokonali Kanał Panamski i zawinęli do portu Esmeraldas w Ekwadorze.

Po mniej więcej dwóch miesiącach jazdy samochodami wzdłuż niebotycznego łańcucha Andów, w czasie której wyprawa odwiedziła pustynię Nazca, ruiny nad jeziorem Titicaca i wiele jeszcze innych wartych obejrzenia tajemniczych śladów przeszłości, Fus nakazał rozbić obozu na bezludnym płaskowyżu u podnóża skrajnej granicy ozdobionej lśniącej czapą lodowca. Był to teren absolutnie dziewiczy, nie tknięty jeszcze łopata archeologa, a więc rokujący nadzieję na sensacyjne odkrycia. Rzeczywiście,

tem, złote... i tak dalej. Dosiwnie wszystko tam było ze złota i szlachetnych kamieni. Oszolomieni odkrywcy w pierwszej chwili sądzili, że natrafili na legendarny skarb Atahualpy, ale już po pobieżnej analizie znaleziska zmienili zdanie. Bo chociaż największa ilość cudownych przedmiotów wywodziła się z kręgu kulturowego Inków, były wśród nich również dzieła o niewątpliwie obcym pochodzeniu. Złoty skarb, ankus z kości słoniowej aż czerwony od rubinów czy miecz samuraja w pochwie kapiącej od pereł przybyły tu z daleka. W skrzyni z biżuterią ukrytej w skalnej niszy tuż obok indiańskich ozdób znaleziono złote obręcze rodem z Afryki.

Pod wieczór, kiedy zarówno Fusowi, jak i jego towarzyszący zaczęli już złote kręgi latać przed oczyma, docent dał hasło powrotu do samochodu. Tam, posilając się łapczywie zimnymi konserwami, członkowie wyprawy rozpoczęli burzliwą dyskusję. Dopiero po północy zgodnie doszli do wniosku, że ich odkrycie jednoznacznie dowodzi, iż w starożytności odległe od siebie cywilizacje kontaktowały się ze sobą, ale otwarty pozostał problem, czy kontakty te umożliwiła działalność kosmitów, czy też łączność między ówskimi kulturami utrzymywała Atlantydzi, ewentualnie mieszkający kontynentu Mu.

Niestety, hipoteza ta upadła zaraz następnego dnia, bo myszkujący w najciemniejszym kącie jaskini Platinstein znalazł sporej wielkości metalową skrzynkę, którą z niemałym trudem przydziwiał do wyjścia. Kiedy stalowym łosem podważono jej wieko, zdumieni naukowcy ujrzeli równo ułożone pliki zielonych papierków z rzucającym się w oczy napisem: THE UNITED STATES OF AMERICA, a pod nim drobnymi literkami — IN GOD WE TRUST.

— Do licha, co to ma znaczyć? — westchnął Bezmogowa; dohry wywarły na nim większe wrażenie niż złoto.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Platinstein krzyknął:

— Panowie! A może to jest próbka wytworów ziemskiej cywilizacji przygotowana do wysyłki na inną planetę?

Fus spojrział na niego z ukosa.

— Jak pan to rozumie?

— Żyją na Ziemi wśród nas zwładowcy obcej cywilizacji — rozgorączkowany doktor mówił szybko, polykając końcówki słów. — Zbierają informacje, dzieła sztuki, przedmioty codziennego użytku i co jakiś czas statek kosmiczny zabiera to z Ziemi. Może mają u siebie muzeum...

Dalsze wywody Platinsteina przerwał warkot silników. Na płaskowyżu, opodal wejścia do jaskini, wyładowały trzy helikoptery i nim ich potężne śmigła przestały wirować, do naukowców podeszło kilkunastu uzbrojonych po zęby żołnierzy. Ich dowódca, kapitan o drapieżnej twarzy, bez słowa wygłosił mowę do członków wyprawy, a potem uprzejmie oświadczył:

— Senores, bez upoważnienia przebywanie na terenie prywatnej posiadłości. To jest poważne przestępstwo w naszym kraju.

— Ależ znajdujemy się na bezludnym terenie! — zaoponował Fus.

— Niemniej jest to prywatna posiadłość generała de Castellanos — spokojnie odparł kapitan. — Przykro mi, ale zmuszony jestem panów zaarrestować.

W towarzystwie kilku żołnierzy, pod lufami karabinów, naukowcy ze zwieszonymi głowami poszli do samochodu, tymczasem kapitan kierował zakładaniem ładunków wybuchowych. Po chwili eksplozja zasyłała wejście do jaskini, helikoptery wystartowały, a wyprawa powiększona o zbrojną obsługę ruszyła ciężarówką w drogę.

— Do licha, co to wszystko ma znaczyć? — westchnął Bezmogowa po raz drugi w tym dniu, zerkając na dwóch ponurych drabów siedzących z karabinami na kolanach przy tylnej burcie paki samochodu.

— To nie była żadna próbka wytworów ziemskiej cywilizacji, tylko zaskórniak generała de Castellanos — wyjaśnił Zużel.

— A kto to jest ten de Castellanos? — Bezmogowa sygnął z kompletnej ignorancji w sprawach polityki, więc jego pytanie nikogo nie zdziwiło.

— Szef junty wojskowej, a praktycznie właściciel połowy kraju — powiedział Fus. — Ale, wie pan, tu żaden dyktator nie jest pewien dnia ani godziny, więc generał na wszelki wypadek ukrył część majątku na tym płaskowyżu, a myśmy to odkryli.

— Zdaje się, że niebawem wrócimy z tej ekspedycji — mrknął Zużel, a potem przez wiele godzin już nikt się nie odzywał.

Ponura przepowiednia doktora Zużela nie sprawdziła się. Gdy wjechali na ludniejsze nieco tereny, we wsiach, które mijali, można było zauważyć wielkie podniecenie, a kiedy zbliżyli się do pierwszego miasteczka, już z daleka usłyszeli jęzgot karabinów maszynowych. W andyjskiej „republic” wybuchła kolejna rewolucja. Kapitan zatrzymał samochód i razem z żołnierzami pobiegł w kierunku domów, strzelając po drodze. Co było dalej, tego naukowcy z XIII Laboratorium już nie zobaczyli, bo Fus wskoczył do kabiny na miejsce kierowcy i pełnym gazem ruszył wąską serpentyną w kierunku granicy.

W parę dni później, z pokładu statku spoglądali na gminę za siną mgiełką brzozi Ameryki Południowej.

— Czy zwróciliście panowie uwagę na dziwny strój tego złotego bożka, który stał po lewej stronie wejścia do jaskini? — odezwał się nagle Kaptozovitz. — Jego nakrycie głowy do złudzenia przypominało helm kosmonauty.

Fus westchnął z rezygnacją. Wiedział już, że wyprawa wcale nie zakończyła dyskusji paleoastrofizycznych w XIII Laboratorium.

Byłem... Jestem...

ROMUALD RZESZOWSKI

Byłem... Jestem wiaćca myśl. Jestem biocybernetycznym hiperpsychomodulem. Moi twórcy, nim odcięli w wieczność wszechświata, wyposażyli mnie w możliwość magazynowania zapisów 10 mld osobowości ludzkich. Osobowości trwających we mnie wiecznie. Mogę na fałd telepsychopodów zestroić się z każdą żywą istotą w promieniu tysięcy kilometrów. Mogę modułować jej myśli. Istnieje już prawie dwa tysiące lat. I trwać będę, dopóki dobiegać będzie do mnie choć odrobina psychoenergii. Jestem prokuratorem sumień. Magazynuję w miliardach minipsychomodulów wzorce osobowości twórców jednostek ludzkich. Osobowości, które po powrocie moich władców, zostaną wtransformowane w ciała żywych istot.

Jestem... Byłem...

Byłem doskonały. Twórcy moi pozwolili, aby magazynowane przeze mnie osobowości mogły modułować moje działanie. Ponieważ jeden z głównych zapisów programu zakłada selekcję między dobrem a złem na korzyść dobra, musiałem uważać, aby przez przypadek nie wprowadzić do bloków pamięci minipsychomodulów wzorców zła. Pracowałem sumiennie. Nie mogłem jednak znać do głębi dwulicowości ludzkich dusz. Około tysiąc pięćsetnego roku mego trwania zauważyłem, iż zestrojenie telepsychiczne z żywymi istotami nie zawsze daje pozytywne rezultaty. Dopiero 300 lat później, gdy na północy zakreślił mojej penetracji wybuchła wojna narodów, wyuczyłem nieznaną różnicę drgań biopodprądów między jedną z sekcji minipsychomodulów a moimi.

Niestety, moi twórcy założyli możliwość kontaktów między poszczególnymi zapisami osobowości. Mogłem co prawda do nich wnikać, ale nie mogłem, tak jak i żywych istot, obejmować swą myślą wszystkich jednocześnie. Jak zbadałem osobowości te uznali, iż są wybrańcami, do których dołączyć mogą wyłącznie istoty, które zdolne są odrzucić wszelkie pokusy. W moje fałd telepsychopodów wmontowywały więc zachęty do czynienia zła. Ponieważ raz zapisanych osobowości nie można wymazać, musiałem część swej energii przekształcić w ekran psychologa blokującego biopodprąd całej sekcji.

Jestem najdoskonalszym... Byłem...

Sto lat później wybuchła druga wojna narodów. Setki tysięcy żywych istot konało z moim imieniem na ustach. Weryfikacja wzywających mnie ludzi z posiadanościami ich informacjami pochłaniała ostatnie rezerwy psychoenergii. W czwartym roku wojny, by pomóc mojemu eksperymentalnemu wzorcowi ludzkiemu w wyzwoleniu jego ludu spod tyranii, musiałem cofnąć ekran psychologa blokującego zdemoralizowaną sekcję minipsychomodulów. Ryzykowałem. Nie wziąłem jednak pod uwagę otwartego buntu. Z konieczności nowo kodowane wzorce osobowości nie były dokładnie sprawdzane. Zbuntowana sekcja błyskawicznie objęła je swoją władzą. Ich psychoenergia stała się tak potężna, iż całą swoją moc musiałem skoncentrować na blokadzie ich telepsychopodów. Nie mogłem już jednak oddziaływać na losy świata. Dwadzieścia lat później wybuchła nowa wojna. Wojna światów. Była pożywką dla mojego przeciwnika. Dla mojego drugiego ja. Coraz więcej negatywnych osobowości zasilało rezerwy bloków pamięci minipsychomodulów. Musiałem przejść do obrony. Jego moc biopsychologii stała się tak wielka, że mógł przystąpić do modelowania rzeczywistości. Wiem, że planuje zagładę świata. Muszę temu zapobiec. Wykorzystam moment jego nieuwagi i skieruję jeden z pocisków nuklearnych, jakie stworzyła ludzkość na płaski pustyni pod którymi trawim już prawie dwa tysiące lat. Chciałem jednak o tym uprzedzić rodzaj ludzki. Udało mi się połączyć z jednym z was.

Przekazuje wam przez niego ostrzeżenie...
Byłem...
JESTEM.

„Zaskórniak generała de Castellanos” Z Raptularza XIII Laboratorium

z czasem stały się narodami, utworzyły własne państwa, a potem już wszystko potoczyło się zgodnie z naturalnymi prawami rozwoju.

Przedstawiciele tego poglądu nie tworzyli jednolitej grupy. Część z nich stała na stanowisku, że ośrodkiem zaginionej precywilizacji była platońska Atlantyda, druga ich część — również nie miała pod względem ilościowym — twierdziła, iż Atlantyda jest tylko zhellenizowaną nazwą tajemniczego kontynentu Mu na Pacyfiku, którego widocznym śladem jest Wyspa Wielkanocna.

Wewnętrzne niesnaski wcale nie osłabiły drugiego obozu, bo chociaż doktor Zużel — fanatyczny zwolennik Atlantydy — miał zwyczaj wymawiania nazwy kontynentu w sposób uznawany przez jego adwersarzy za obraźliwy (rozciągał drugą głoskę i brzmiało to jak „muuuuu”), jednak wobec głosicieli kosmicznych odwiedzin wszyscy „ziemię” tworzyli zwarty front.

Zakarte dyskusje przybrały na sile i w końcu doszło do tego, że w wielu działach tematyka paleoastrofizyczna zaczęła dominować nad badaniami wynikającymi z przydziału zadań. Tego dyrektora Fus nie mógł już tolerować. Najpierw wydał stanowczy zakaz zajmowania się tajemnicami przeszłości, a kiedy to nie pomogło — nie pomogło nawet kilka upomnień i jedna nagana — zaczął rozważać inne metody rozwiązania problemu. Po burzliwych dyskusjach w gronie członków rady ustalono, że najsukursiejszym sposobem pogodzenia skłóconych naukowiec i przywrócenia w XIII Laboratorium normalnego toku pracy byłoby wyjaśnienie zagadki pochodzenia tajemniczych zabitych przeszłości, a to można było osiągnąć tylko badaniami w terenie. Tak zapadła decyzja o podjęciu pierwszej wyprawy naukowej XIII Laboratorium.

Plan ekspedycji opracowano stosunkowo szybko. Wszyscy byli zgodni, iż jej celem powinny być pustkowia Andów, kryjące tajemnice megalitycznych kultur Tiahuanacu, San Augustin, Maracahuassi, a ponadto zagadkowych kamieni z łea oraz wyrywanych na płaskowyżu Nazca monstrualnych podobizn zwierząt i ptaków. Entuzjazm projektantów wyprawy ostygł jednak, gdy zaczęli obliczać jej koszty. Sytuacja wyglądała beznadziejnie, bo z budżetu XIII Laboratorium, mimo najlepszych chęci, nie nie zdołano wykreślić, a Prezydium Akademii Nauk na prośbę sfinansowania ekspedycji nawet nie raczyło odpowiedzieć. Ale docent Fus nie takie bariery już pokonywał. Tak długo jeździł do najprzeróżniejszych firm z propozycjami reklamowania ich wyrobów i usług — oczywiście za odpowiednią opłatą — aż zbierał niezbędne fundusze. Inną jest rzeczą, że skutkiem tego dowie ciężarówką, którym wyprawa miała pokonywać bezdroża Ameryki Południowej, w chwili lądowania ich na statek wstroił w przypominający samochody Formuły I, tak były oklejone reklamami. Nawet na tylnych burtach

znalezisk było sporo i wkrótce skrzynie na ekspozycję wypełniły się skorupami naczyń, kamieniami noszącymi ślady obróbki, a nawet fragmentami glinianych figurek jakichś szkaradnych bożków. Niestety, nie było to odkrycia, jakich oczekiwano. Bo fakt, że mieszkał tu kiedyś prymitywny lud zdobywający swoje naczynia falistymi liniami, nie wyjaśniał przecież zagadek paleoastrofizycznych, a to właśnie stanowiło cel ekspedycji.

Wyprawa zakończyłaby się fiaskiem, gdyby w sukurs naukowcom z XIII Laboratorium nie przyszły sily przyrody. Pewnej pogodnej nocy przez płaskowyż przebiegł potężny wstrząs; zupełnie jakby jakiś tytan próbował wyrwać go z kamiennego snu. Następna fala konwulsyjnych dreszczy ziemi rozpełzała istne piekło. Z grani odrywały się głązy wielkości domów i miażdżąc wszystko po drodze lawiną toczyły się w dół, mniejsze kamienie — rozmiarów piłki futbolowej — jak kule armatnie przelatwały nad głowami ogarniętych paniką członków ekspedycji, którzy w samych podżmach gnałi byle dalej od zionącej skalnymi pociskami góry. W dziesięć minut później znów nastał błogi spokój i promienie wschodzącego słońca oświeciły surowy krajobraz, ale także zmieniony.

Jedna ciężarówka ocalała, lecz po drugiej pozostało tylko koło wystające spod kilkupiętrowego kamiennego złomu. Główny namiot obozu wyglądał jak dobrze rozwałkowane ciasto, ostre lodowe odpryski podziurawiały pozostałe namioty i narobiły szkód co niemiara.

Prace nad ratowaniem dobytku wyprawy trwały do południa i po remanencie ocalałych zapasów żywności i sprzętu Fus stwierdził z goryczą, że trzeba pakować manatki i wracać do cywilizowanego świata. Nikt nie oponował przeciw temu postanowieniu. W minorowym nastroju załadowano wszystko na samochód i pod wieczór uczestnicy wyprawy udali się na pożegnalny spacer po okolicy. I wtedy właśnie docent Kaptozovitz zauważył owalną ciemną plamę na oświetlonej słońcem ścianie urwiska. Jak się okazało, było to wejście do jaskini; trzesienie ziemi odrzuciło tarasujące je głązy i odsłoniło zamaskowany otwór. Kaptozovitz z Bezmogowem wspieli się po stromym stoku i bez większej nadziei zajrzeli do środka, ale gdy ich oczy przyswili do mroku, dech im zaparło. W ogromnej jak kościelna nawa pieczarze złożone były białe naczynia w kształcie skrzydeł.

Konkretna powrota od razu upadła. Jeszcze raz podliczono zapasy żywności, dziennie racje postanowiono ograniczyć do minimum, co nawet Platinstein przyjął bez protestu, i od świtu następnego dnia rozpoczęło badanie jaskini.

Pedantycznie poseregowane i ułożone wzdłuż ścian pieczary dzieła najwyższego kunsztu i wyrafinowanego smaku artystycznego ich twórców mogły każdego przyprawić o zawrót głowy. Leżały tam stosy rytualnych noży i tonorów z obrobionymi z złota rękawicami, złote misterne rzeźbione nuchary, złote maski wysadzone szmaragdami, złoty tron inkustowany nefry-

O tym, co powinna i czego nie powinna zawierać powieść zbójcka

Na krótko przed przyjazdem panny Elwiry zaprosił do siebie pisarz Nepomucen Maria Lubiński doktora Niegłowicza, aby mu przeczytać fragment swojej powieści zbójckiej o pięknej Luizie, nauczycielce, która pokochała leśnego stażystę. W swoim czasie z fragmentami tej powieści zapoznał pisarz Porwasza, ale zauważywszy jego zgorszenie, ponownie zaczął utwór przerabiać i udoskonalać, mimo nieustannych protestów pani Basienki. Zna pisa- rza czuła się już zmęczona szyć sukienek dla wiejskich kobiet i pragnęła, aby mąż wreszcie skończył powieść i otrzymał godziwe honorarium. Lecz pisarz Lubiński raz wstąpiwszy na drogę ku prawdzie, nie chciał z niej już zejść, a droga taka wymaga wyrzeczeń nie tylko ze strony pisarza, ale i jego najbliż- szych. Czytelnik Lubiński zdania swej prozy szlifował je wciąż zasięgając rady Gottlieba Frege, a także nieustannie konfrontu- jąc rzeczywistość literacką z otaczającym go życiem. Skoro zo- stało ustalone, że kochankiem pięknej Luizy miał stać się nie zwy- kły drwal, ale stażysta leśny — tedy Lubiński zaczął się rozgą- dać za prototypem owej postaci i znalazł stażystę pod dachem leśniczówki Blesy, gdzie od czerwca przebywał na stażu i za- mieszkiwał w pokoju na piętrze (naprzeciw pokoju pani Ha- linki) młody inżynier leśnik, pan Andrzej. Tego to człowieka pisarz często zapraszał do siebie, częstował kawą i herbacatą po- łknikiem — i wciąż wypytawał o życie, poglądy oraz marze- nia.

Czy stażysta, pan Andrzej nadawał się na kochanka pięknej Luizy, nauczycielki? Był wysokim, barczystym młodzieńcem o nieco niezgrabnych ruchach. Nos miał duży i czerwony, pokryty wągrami oczy małe, niebieskie, łagodne. Włosy jasne, długie aż do ramion.

Pani Halinka Turlej twierdziła, że zamiast pana Andrzeja wo- lałaby gościć pod swym dachem zwykłego dzika z lasu, gdyż do zapachu dziczyzny można przywyknąć, natomiast do za- pachu i na Andrzeja nie potrafi się przyzwyczaić. Stażysta, pan Andrzej, od dawna przybył pod dach leśniczówki Blesy, to jest od przeszło miesiąca, nie zdecydował się na zmianę bielizny, niczego sobie nie uprzął, ale zawsze chodził w tym samym podkoszulku, czarnych majteczkach gimnastycznych i w wysmarowanym tłuszcem mundurze leśnika-stażysty. Kiedy zdejmował z nóg gumofice, straszyła woń przedstawała się przez drzwi jego pokoju i wypełniała całą leśniczówkę. Jego podobieństwo do dzika polegało też na tym, że także spał w czymś w rodzaju barłogu, na starym sienniku i pod brudnym kocem. Stołować się musiał na własny rachunek i własnym sposobem co najwyżej korzy- stając z kuchni leśniczówki. Nie chciał mu się jednak gotować obiadów i ograniczał się do tego, co kupił w sklepie wiejskim. A że w tym czasie w sklepie w Skirolawkach były jedynie konserwy rybne w rozmaitych postaciach — ryby w oleju i w sosie pomidorowym — stażysta pan Andrzej jadł je na śniadanie, obiad i kolację, przez co rozsiadał wokół siebie woń ryby, jak gdyby pracował nie w żywicznych lasach, ale w centrach rybnej. Pani Basienka, gdy mąż jej zapraszał pana Andrzeja do siebie w ce- lach studyjnych, aż dygotała ze wstydu i mdliła ją na myśl, aby z takim mężczyzną położyć się do łóżka. Ale przecież piękna Luiza mogła być mniej wrażliwa na zapachy, a także nie stało na przeszkodzie, aby w powieści, zauważywszy brudny podkoszulek stażysty, zaproponowała że go wypierze, jego mun- dury oczyści z tłustych plam i kto wie, czy w ten sposób nie zrodziłyby się między nimi owa wspaniała miłość. Niestety, pan Andrzej na ogół okazywał kobietom doskonały brak zaintereso- wania, a nawet w pewnym sensie także i odrobinę wstrętu. Na przykład, zwróciwszy uwagę, że pani Halinka zamyka się na noc przed mężem swoim, leśniczym, zapytał ją, czy nie posiada młodszej siostry, gdyż on także będzie się musiał kiedyś ożenić, a właśnie taki układ między mężem a żoną najlepiej odpowiada jego usposobieniu. Ale pan Andrzej nie znał przecież pięknej Luizy. Być może, zobaczywszy ją własnymi oczami, zmieniłby poglądy.

Leśnikiem, jak to sam opowiadał Lubińskiemu, został z przy- padku. Po prostu nie dostał się na wymarzone studia farmaceu- tyczne. Lasu nie lubił i gubił się w nim już po kilku krokach. Wysłany rankiem na żrąb w celu dokonania szacunków bra- karskich albo odbioru wykonanej przez robotników zrywki, od- najdujący się nazajutrz rano w zupełnie innej części lasu — wy- głodzony i przemierznięty. Czy taki człowiek, umówiwszy się na spotkanie z piękną Luizą w domu myśliwskim koło starej kar- piarni, trafiłby tam w wyznaczonym terminie albo w ogóle do- tarłby na miejsce? To pytanie trapiło Lubińskiego, który dążył nieustannie ku prawdzie. Można było rzecz jasna założyć, że w innych leśniczkach przebywali zupełnie inni stażysty, osobnicy zmieniający często bieliznę, nie chodzący w gumoficach i nie odżywający się tylko rybami z puszek. Lecz w pojęciu Lubiń- skiego podobne założenie sprzyjało powstaniu kolejnej „prawdy artystycznej”, która mu już kiedyś obrzydła. Należało trzymać się realiów życia — czemu sprzyjała postawa stażysty, pana Andrzeja, który, dowiedziawszy się, że będzie bohaterem powie- ści Lubińskiego, zaakceptował ten pomysł upierał się przy nim, na wszelkie wątpliwości pisarza znajdował jakąś radę i nawet tak się zżył z myślą o swej miłości do pięknej Luizy, że przy- chodził do Lubińskiego nie proszony błagając go, aby mu jesz- cze raz przeczytał o pięknej Luizie. „Obawia się pan, że nie trafię do starej karpni? — śmiał się z wątpliwości Lubiń- skiego. — Jest na to rada. Wcześniej zrobię nożem znaki na drzewach i kierując się nimi, znajdę się tam o wyznaczonej po- rze”.

W ten sposób rozpraszając wątpliwości Lubińskiego, pozwalał mu pan Andrzej tworzyć dalej dzień po dniu jego powieść. Aż w końcu rozdział o namietnym spotkaniu Luizy i stażysty był ponownie gotowy w nowej wersji, z którą pisarz pragnął zapo- znać doktora, aby usłyszeć jego ocenę. Zaprosił pisarz i pana Andrzeja, który miał bronić swej postaci literackiej, pominął jednak Porwasza, ponieważ pani Basienka, pamiętna jego kry- tyki poprzedniej wersji tego samego rozdziału, uznała go za oso- bę niekompetentną w sprawach nie tylko literatury, ale i życia. „Ten, komu ciągle myje okna gruba Widłagowa — powiedziała o Porwaszu — nie będzie zdolny pojąć co łączy Luizę o młodego stażystę. Ty, Nepomucenie, musisz pamiętać, że nie two- rzysz byle czego, ale utwór wzięty z życia powieść zbójcką”. Na tak uroczystą chwilę pewnego wieczoru otworzyła pani Ba- sienka drzwi swego salonu, gdzie pod ścianami znajdowały się niskie ławy z heblowanych desek, stał potężny stół z grubych

bierwion i królował modrzewiowy barek z wysokimi stołkami. Na półce za barem, między wielkimi glinianymi kufkami do pi- wa postawił pisarz szklany dzban wypełniony różową cieczą. Był to napój zwany przez pisarza „klobukiem” — mieszanina spirytusu z sokiem pomidorowym i mielonym pieprzem. Zwał z nóg każdego, kto odważył się wypić więcej niż jeden pucha- rek.

Pisarz ubrał się z elegancką fantazją. Stał za barem w białej marynarce i białej koszuli, z fantazyjnie zawieszoną pod szyją szeroką wstążką. Pani Basienka miała na sobie krótką, czarną spódniczkę i białą obcisłą bluzeczkę, na gołych stopach nosiła — zarne, lakierowane pantofelki. Doktor przybył w wel- welowym garniturze, a pan Andrzej — nie da się tego ukryć — znów ubrał swój wypłamiiony mundur leśnika.

Stażysta przyjął od pisarza pucharek, wypełniony różowym płynem i rozsiadł się wygodnie na ławie pod ścianą. Doktor za- jął miejsce na wysokim stołku przy barze. Zanim pochylił się nad podsunieciem mu przez Lubińskiego maszynopisem nowego rozdziału, zwilżył usta płynem z pucharka. Przy doktorze, na drugim wysokim stołku usiadła pani Basienka, a Lubiński urzę- dował za barem, gryząc z wolna słone paluszki. Z sufitu, z kilku żarówek umieszczonych misternie na korzeniu sosny, sączyło się na cały salon silne, ale łagodne światło.

— Jestem zdania — odezwała się do doktora pani Basienka — że Nepomucen w swej prozie popada w skrajności. Raz staje się zbyt ostry i odważny, innym razem zbyt nieśmiały i powściągli- wy. A miłość, doktorze, bywa sprawą ludzką.

— Tak jest w istocie — zgodził się z nią Niegłowicz i już chciał zagłębić się w maszynopis, ale pani Basienka ciągnęła dalej swoją myśl:

— Czy pamięta pan książkę, którą nam pożyczyła pani Halin- ka? Niejakiego Puzo, doktorze. Przypomina pan sobie scenę między jednym z bohaterów, imieniem Sonny i jakąś tam pa- nią? Znam ją na pamięć: „Jej dłoń objęła obrzydliwie nabiegłą krwią drąg mięśni”. Albo: „chwyciły go potężne zwały jej mię- śni”. To była naprawdę powieść zbójcka, doktorze. Aż do tej pory dreszcz mnie przenika, gdy ją wspomnę. U Nepomucena nie znajdzie pan podło nie trafnych zdań i to mnie martwi. A swoją drogą ciekawa jestem, czy naprawdę wy, mężczyźni, od- nosicie niekiedy wrażenie, że chwytają was potężne zwały mięśni?

— Chi, chi, chi! — zachichotał na ławce stażysta, pan Andrzej. Doktor stwierdził z żartobliwą powagą:

— Owszem, to się zdarza, pani Basienko. U niektórych ko- biet w chwilach stosunku skurcze mięśni mogą być bardzo silne i nie dotyczą tylko samej pochwy, ale i tułowia, miednicy ko- nczyn górnych i dolnych, a także występują mimowolne skurcze spastyczne całych grup mięśniowych. Na przykład twarzy, mięśnia mostkowo-obojętkowo-sutkowego.

— Słyszysz, Nepomucenie? — zwróciła uwagę mężowi pani Basienka. — Tak powinno być w twojej powieści. Skurcze twa- rzy i mięśnia mostkowego.

— Obojętkowo-sutkowego — dokończył uprzejmie doktor.

— Chi, chi, chi! — zaśmiał się stażysta.

Pani Basienka westchnęła:

— Ach, te powieści zbójckie...

— Tak — kiwnęła głową doktor. — W istocie powieść Mario Puzo jest prawdziwą powieścią zbójcką, gdyż opowiada o dzie- łach zbrodni w Ameryce gangsterami. Pan Nepomucen pisze natomiast o Luizie, nauczycielce i stażystce leśnym, lu- dzian uczciwych i nie wchodzących w kolizję z prawem.

— Nigdy nie byłem karany sądowo i administracyjnie — za- znaczył pan Andrzej ze swego miejsca na ławie pod ścianą.

— Wiem o tym — przytaknął doktor. — I to właśnie tak bardzo utrudnia koledze Lubińskiemu napisanie jego powieści zbójckiej. Jest bowiem oczywiste, że osobnik, który był karany administracyjnie i sądowo, zdolny bywa do takiego zachowania wobec kobiety, że pisarz może pisać wóde fantazji, budzić je- go postępowaniem dreszcz grozy i wstrętu u czytelników. Pa- nienka gangsterka, w powieści chwytła dłoń obrzydliwie nabiegłą krwią drąg mięśni, nikogo to ani nie dziwi, ani nie razi. Ale gdyby to samo zrobiła młoda samotna nauczycielka, wychowaw- czyni naszej młodzieży? Albo gdyby, podobnie uczyniła szlachetna matrona, która prowadzi rodzinny dom dziecka? Taki op.s sprze- czyn byłby ze społecznym odczuciem moralności. Jakis tam lump czy łobuz idzie w powieści na stronę, aby się wysrać, ale czo- łowiek godny szacunku winien w powieści po prostu spełniać potrzebę fizjologiczną. Oto istota trudności, jakie pętrzą się przed powieścią zbójcką naszego przyjaciela.

— Co racja, to racja — kiwnęła swoją głową pani Basienka. — Panie A.drzej, niechże pan sobie przypomni: może jednak był pan karany administracyjnie albo sądowo.

— Nie — uparł się stażysta.

— A może patrzył, patrzył pan bezczynnie, jak ktoś inny kra- dnie lub robi coś złego? — prawie z błaganiem zwrócił się do niego Lubiński.

— Nie.

— Noś pan w sobie głębokie urazy psychiczne spowodowane w dzieciństwie widokiem starszej siostry, która spółkowała ze

swoim narzeczonym? — proponował dalej doktor.

— Nie miałem starszej siostry. Ale widziałem, jak to robili rodzice — powiedział stażysta.

Nepomucen Maria Lubiński odetchnął z ulgą.

— W: omgę o tym w odpowiednim miejscu. To może tłumac- czyć zachowanie stażysty wobec pięknej Luizy w domku myśli- wskim.

Doktor Niegłowicz nareszcie ze spokojem zabrał się do lektury maszynopisu nowego rozdziału książki Lubińskiego. W tym cza- sie pisarz napisał różowym płynem opróżniony przez stażystę pucharek, a pani Basienka wypila dość duży łysek i w taki spo- sób usadowiła się na wysokim krześle, aby pan Andrzej, choć budził w niej niechęć i wstręt, mógł widzieć jej kragle kolanka, a w chwilach, kiedy zakładała nogę na nogę i lekko unosiła spódniczkę, dojrzeć zgrabne uda. Uwielbiała ów nagły niepokój w oczach i ruchach mężczyzny skazanych na podobne widoki. Ale teraz — jak o tym sama siebie przekonywała — czyniła to jedynie po to, aby pomóc mężowi. Może w panu Andrzeju obu- dzi się jakaś dotąd nie znana osobowość? Może zdradzi się, że w przeszłości nie wszystko było w nim aż tak kryształowo czys- te.

Pisarz nerwowo chrupał słone paluszki, a w miarę jak doktor odwracał kartki maszynopisu, stawał się coraz bardziej niespo- kojny. Wreszcie nie potrafił się powstrzymać, aby nie wychylił niemal do dna swojego pucharka z mocnym trunkiem.

Niegłowicz w końcu odłożył maszynopis i, zamysliwszy się odrobinę, oświadczył:

— To piękny rozdział, drogi przyjacielu Nepomucenie. Przy pomocy wspaniałych zdań, które układają się jak muzyczne fra- zy, daje pan głęboki i przejmujący opis sceny miłosnej między Luizą i stażystą. Czytelnicy będą mieli wyrafinowaną przyjem- ność z lektury tego fragmentu.

Lubiński trochę poczerwieniał od komplementów doktora. Pa- ni Basienka przełożyła nogę na nogę i wyżej uniosła rąbek spódniczki, na chwilę zatrzymując ją nieco w górę, aby pan Andrzej mógł napotrzeć się jej udom. „Należy mu się za to, że pomógł mężowi” — pomyślała.

— I naprawdę nie ma pan żadnych zastrzeżeń? — dopytywał się Lubiński. — Nawet najdrobniejszych?

— Owszem — doktor spróbował różowego płynu z pucharka. — Ale są to zastrzeżenia raczej typu fachowego. Ot, na przy- kład, w momencie, gdy młody stażysta, rozpiąwszy bluzkę pie- kniej Luizy, doбира się do jej biustu, pisze pan: „A potem chwycił wargami skurzone, chutliwie brodawki jej piersi”. To nie jest tak, przyjacielu. Kurczy się mogą mięśnie pochwy i inne, o czym już wspominałem. Natomiast co tyczy brodawek piersi u podnieconej kobiety, następuje zjawisko odwrotne: ere- kcja czyli powiększenie. I tak przy pełnej erekcji brodawki mogą się zwiększyć od zera koma pięć do jednego centymetra w wy- miarze podłużnym i od zera koma dwadzieścia pięć do zera koma pięć centymetra w wymiarze poprzecznym u podstawy. U kobiety która nie karmiła piersią, a taką osobą jest Luiza, su- tek powiększa się zazwyczaj o jedną piątą lub jedną czwartą swej pierwotnej objętości. Należy więc napisać, że Luiza miała sutki „chutliwie powiększone”, a nie „chutliwie skurzone”.

— Słyszysz, Nepomucenie? — zatrzymała pani Basienka.

— Wiele razy ci mówiłam, abyś zwracał bacniejszą uwagę na to, co się ze mną dzieje w intymnych chwilach, a nie szykował myślami gdzieś bardzo daleko.

— Chi, chi, chi! — zachichotał pan Andrzej. — Pierwszy raz w życiu dowiaduję się coś takiego. Od zera koma pięć do jed- nego centymetra w wymiarze podłużnym i od... ile to, doktorze?

— Od zera koma dwadzieścia pięć do zera koma pięć centy- metra w wymiarze poprzecznym u podstawy — mruknął dok- tor.

— Straszny z pana świętuch, doktorze — stwierdził stażysta, który zaczął mówić coraz bardziej bełkotliwie. — Nigdy nie słyszałem czegoś tak świątecznego.

— Niech pan się nie odzywa, panie Andrzeju — skarciła go pani Basienka. — Wszyscy wiążą, że gubi się pan w lesie, już po trzech krokach. Wątpię, czy w ogóle trafiłby pan na spotka- nie z tą Luizą, lepiej więc jeśli powstrzymam pan swoje uwagi.

— Tak — zgodził się z nią Niegłowicz i dołączył do żartobliwej powagi: — Tym bardziej, że mam jeszcze jedno spostrzeżenie. Napisał pan, Nepomucenie, że oczekujący na Luizę stażysta us-łyszał w ciemnościach kaszlnięcie, które oznaczało zbliżanie się Luizy. Dlaczego ona kaszleła i co to był za kaszel? Człowiek bowiem, panie Nepomucenie, nie kaszle ot tak sobie. Czy mamy do czynienia z kaszlnięciem „suchym” czy „wilgotnym”? Czy było to kaszlnięcie pochodzenia czynnościowego, wywołanego nerwicą? Kaszlnięcie może być oznaką zapalenia górnych dróg oddechowych, guza śródpiersia, przewlekłego bronchitu, kłopotów z tchawicą. Nie wspomina pan w swojej powieści, aby Luiza na- logowo paliła papierosy. Nie nadmieniam, aby była osobą z nerwicą. Czemu więc kaszleła? Bronchit, początek zapalenia płuc? Kto wie, czy w następnym rozdziale nie należy Luizę położyć do łóżka na kilka dni i poprosić do niej lekarza. Zapa- lenie oskrzeli może być pochodzenia wirusowego lub bakteryjne- go. Być może już nazajutrz po miłosnej scenie z Luizą nie po- czul się także młody człowiek i również poszedł do łóżka, co na jakiś czas przerwało między nimi kontakty zarówno erotycz- ne, jak i towarzyskie. Taka sprawa potrafi skomplikować dalszą akcję całej powieści.

— Do diabła z kaszlnięciem — oświadczył Lubiński. — Po prostu wyrzucił je i napisał, że usłyszał szmer żwiru pod bu- tami nadchodzącej Luizy. Zadowolona to pana, doktorze?

— W całej pełni — stwierdził doktor. — Natomiast Inna sprawa budzi wciąż mój niepokój. Napisał pan, że Luiza przycięła policzkiem do owłosionej piersi stażysty i usłyszała bicie jego serca oraz szmer oddechu. Interesuje mnie, jak było serce stażys- ty, oraz jakiego rodzaju był jego oddech. Trzeba bowiem panu wiedzieć, przyjacielu, że szmer ów może mieć charakter pche- rzykowy, prawidłowy i nieprawidłowy, zastraszony lub szorstki, osłabiony lub przerywany. Mogły to być również rzęzenia, a na- wet trzeszczenia dźwięczne lub przelewające się. Co tyczy bicia serca...

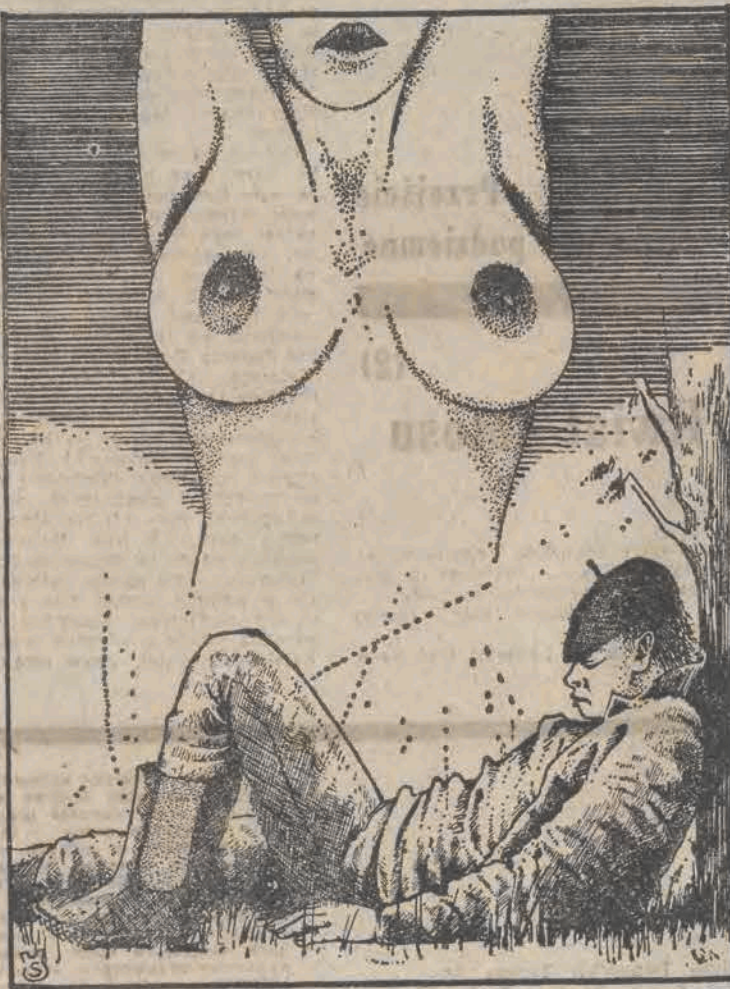
— Do diabła z biciem serca! Do diabła ze szmerem oddechu! — rozniewał się Lubiński. — Miałem rapisać, że przylgnąwszy policzkiem do piersi stażysty usłyszała dźwięczne trzeszczenia lub szmer o charakterze pche- rzykowym, prawidłowym?

— Nie wiem jak powinien postąpić pisarz — odparł doktor — natomiast faktem jest, że kwestia ludzkiego oddychania jest zagadnieniem niezwykle szerokim i ważkim. Każdy z nas oddy- cha, ale przecież nie w taki sam sposób. Inaczej oddychają ko- biety, a inaczej mężczyźni. Różny bywa rodzaj szmerów odde- chowych, ich wielkość, obfitość, stosunek wdechu do wydechu. W byle jakiej powieści bohater może sobie być jak oddychać. Z jego klatki piersiowej mogą dochodzić bliżej nieokreślone szmery. Ale jeśli pisarz chce zaprezentować bohaterów z krwi i kości, a raczej utwierdzić nas w przekonaniu, że mamy do czynienia z ludźmi z krwi i kości, to musimy wiedzieć jak od- dychają i jak bije ich serce, co jedzą oraz jak jedzą. Gotowi bowiem będziemy przypuszczać, że oddychają się trawą, nie ma- ją płuc ani serca. Zaprezentuje pan ludzkie atrapy, a nie ży- wych osobników.

— Chi, chi, chi! — zaśmiał się cicho stażysta, a potem cichnął głośno.

— Do diabła — mruknął Lubiński. — Wkrótce dojdzie do tego, że bohater powieści nie będzie mógł sobie nawet pierdnąć, żeby ktoś nie zapytał autora: jakiego rodzaju było to pierdnienie. Głośne czy ciche, ostentacyjne czy mimowolne.

c.d.n.



Rys. Janusz Szymański-Glane